KOMEDYE

KAZIMIERZA BUJNICKIEGO.

KOMEDYE

PROZĄ I WIERSZEM,

Kazimierza Bujnickiego.

WILNO

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1851.

Drukować pozwolono z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby exemplarzy. Wilno dnia 25 Pazdziernika 1850 roku.

Sprawujący Obowiązek Cenzora. Radzca Kolleg. i Kaw.
A. Muchin.

Nauczyciel w Kłopotach.

KOMEDYA WE TRZECH AKTACH.

OSOBY.

REFERENDARZ.
JULJAN Syn Referendarza.
MARJA.
BINOMSKI Nauczyciel.
POLETKO Dyspozytor.
KROCHMALSKA Ochmistrzyni.
GABRYEL Stary strzelec.

Scena we wsi dziedzicznéj Referendarza.

Akt I.

SCENA PIERWSZA.

(Pokój literata z professji, nieład klassyczny. W głębi wielkie drzwi środkowe, z boku mniejsze. Na przodzie sceny, z jednéj strony siedzi Binomski nad gazetą, przy stole na którym książki i papiery, z drugiéj strony przy małym stoliku Juljan pisze, spoglądając czasami na pedagoga).

BINOMSKI.

Co znowu, u stu drabów? — Nowa fizyka powiadam! — Nowa mechanika ciał niebieskich. Oni, dalibóg, gotowi nawet świętą naszą matematykę przewrócić do góry nogami i zrobić ją romantyczną, jak dokazali już tego z literaturą. Słyszałeś Juljanie? (*czyta*)

JULJAN (*pisząc*).

A — tak — słyszałem.

BINOMSKI.

A, niechby go jasny piorun! Newtonowi śmie zadawać kłamstwo! — Attrakcya, chimera! Świat powszechny, *universus*, czémże ma być odtąd? — Stosem Wol-

ty! — cha, cha, cha, i śmiech i złość człeka bierze, powiadam, czytając takie dziwaczne hipotezy — Juljanie, słyszałeś? *(czyta)*.

J u l j a n *(pisząc)*.

Attrakcya? — znam ją.

B i n o m s k i.

Spodziewam się. Pracujesz właśnie nad wykładem téj najdzielniejszéj siły. — Napisałeś. *(czyta)*

J u l j a n.

Napisałem, ale muszę jeszcze coś dodać, wygładzić. *(składa list i pieczętuje opłatkiem)*

B i n o m s k i.

Ja tego nie robię, ale tobie wolno mój synu. Ja robotę wylewam jak z formy, od razu; ale cóż mówi Terencyusz? *Mihi sic usus est, tibi ut opus est facto face* *). Oh, Terencyusz, powiadam, *intra parenthesis*, to mi to komik; lepszy sto razy od dzisiejszych dramaturgów *(czyta znowu gazetę, a* Juljan *chowa bilecik za nadrą)*. Co ten tu Fizyko-matematyk plecie? smalone duby! — *intolerabile* powiadam! — *(rzuca gazetę na stół)*. Muszę, daléj nie odkładając, zrefutować te herezye, poścignąć winowajcę na gorącym uczynku. *(zabiera się do pisania)* Krytykę podam do gazet i podpiszę się — jak? — Newtonoplos. Wyborny pseudonim! — *(pisze)*.

J u l j a n *(do siebie)*.

Teraz już się należycie zatokował, teraz mogę się wynieść, i ten listek jéj przesłać przez rybaka. Rzeczy tak dłużej trwać nie mogą — trzeba się decydować. *(wychodzi)*.

---

*) Mój taki zwyczaj, a ty rób po swojemu.

(Binomski *pisze, potrzęsając głową i sięgając często do stojącéj przy nim tabakiery. Po chwili wchodzi* Poletko *z regestrami pod pachą*).

Poletko (*do siebie*).

Musi cóś ważnego pisać, bo sapie jak wół w pługu. A kaduk wie, jak długo jeszcze tak będzie gryzmolił. (*Chrząka, uciera nos z łoskotem i szasta nogami*) choć mu wystrzel nad uchem z dubeltówki, nie usłyszy. Znam go: będzie wodził piórem po papierze, dopóki nie wyrzuci z głowy uczonych fumów co w niéj fermentują jak braha w czopie. A w gruncie taki fryc, że go jak chcąc za nos wodzić można.

Binomski (*pisząc*).

Złapię cię ptaszku, złapię, poczekajno.

Poletko (*zlękniony*).

Do licha! to cóś jakby o mnie.

Binomski (*pisząc*).

Dowiodę, że omamiasz, bałamucisz!

Poletko.

Pewnie pisze do pana, o mnie.

Binomski (*pisząc*).

Że twój rachunek fałszywy.

Poletko.

Zginąłem. Miałem go za symplaka a to frant nad franty; gra rolę dystrakta a bestya ostrowidz.

Binomski (*pisząc*).

Że twoje hipotezy nic innego jak *acervus nugarum*. kupa bredni.

POLETKO.

Hipoteza musi znaczyć po łacinie szalbierstwo — przepadłem.

BINOMSKI.

(*kładzie pióro, nie odwracając głowy*).

Dajże mi swoje *opusculum*: musiałeś już je wyszlufować, powiadam.

POLETKO (*do siebie*).

Czy go djabeł? widział mnie, nie patrząc.

(*zbliża się nieśmiało*).

Oto jest bruljon i diarjusz tego miesiąca, ale zaręczyć mogę, że nie szlufowany. Zkąd ta nie łaska na mnie, ale, pana Professora? —

BINOMSKI (*zdumiany*).

Co u stu drabów! — przepraszam. Rozumiałem, powiadam, że pan Juljan. (*bierze od niego regestra*) Ale, gdzież się on podział? — *Evasit.*

POLETKO (*na boku*):

O filucie wierutny!

BINOMSKI (*zaziera do kalendarza*).

A, prawda, dziś koniec miesiąca. (*otwiera księgę in foljo*). Dziś zaciągnąć trzeba do wielkiej księgi miesięczny obrót ekonomji. (*przegląda regestra*).

POLETKO (*ocierając czoło na stronie*).

Śmiałem się z tej księgi, a teraz na jej sam widok mrówki mi biegają po skórze.

BINOMSKI (*zamyka księgę*).

Zostawisz mi z łaski swojej na dziś swoje rejestra. W tej chwili jestem bardzo zajęty... Ale, miałem powiedzieć, w dzienniku są glozy, to nie uchodzi. W bru-

ljonie co innego. Jestem w tych rzeczach surowy, bo też buchhalterja ma pewne prawidła, od których odstępować nie wolno, panie Dyspozytorze.

Poletko (*do siebie*).

Djabli by cię z twoją buchhalterją.

Binomski (*ukazując palcem na regestra*).

Prosiłem już, ażebyś w dzienniku te oto artykuły oznaczał rubryką; jeżeli nie masz czerwonego atramen, tu, dam mu go. Tytuły, *inscriptiones*, prosiłem pisać większemi literami, a imiona własne, *propria*, frakturą, jeśli można.

Poletko (*pokornym tonem*).

Zrobię to wszystko podług rozkazu — ale, jeśli się zapytać godzi — czy, ale, pan Professor dobrodziej pewnym jest, że się czasem do jego księgi nie wcisnęła jaka omyłeczka — rozumi się przypadkiem — ale? —

Binomski.

Do mojéj księgi? — Broń Boże! — Widać, że pan nie znasz buchhalterji. To, powiadam panu, nauka cudowna. Ta księga, powiadam, to pewniejsza wyroczuia niż owe niegdyś *oracula Delphi*. Przekonam o tém, niech no tylko doczekamy pana Referendarza. Zacny ten pan, zaszczycił mię nieograniczoną swoją ufnością, i spodziewam się okazać dowodami, że się nie zawiódł. Z życzliwości, nie z obowiązku, zastępuję buchhaltera, praca to powiadam kaduczna, *officium damnosum*, ale resultata wielkie. W téj księdze wszystko jasne, stan majątku zewnętrzny i wewnętrzny, *activa* i *passiva* widniutkie jak na dłoni, tak iż w każdéj chwili można,

powiadam, oświecić właściciela i w czas złemu zaradzić. (*Otwiera znowu księgę i przewraca jéj karty z miną zadowolenia*).

POLETKO (*na stronie*).

Przepadłem. Złapał mnie, wyszpiegował. Referendarz lada dzień przyjedzie.... trzeba wejść w układ z tym djabłem wcielonym. (*Głośno*) panie Professorze dobrodzieju.

BINOMSKI.

Proszę mię nie tytułować, jeśli łaska. Do tytułu professora nie mam już prawa, a jestem tylko nauczycielem prywatnym. Lubię ścisłość, akuratność we wszystkiém powiadam. (*Składa księgę i zabiera się do pisania*).

POLETKO.

Ja też króciutko chciałem, ale, cóś panu powiedzieć w konfidencyi.

BINOMSKI.

Słucham.

POLETKO.

Ręka — ale — rękę myje, panie pro — przepraszam.

BINOMSKI.

Do kogoż to pan stosujesz?

POLETKO.

Do jegomości i do siebie, ale.

BINOMSKI.

Do stu drabów, powiadam, nie rozumiem.

POLETKO.

Eh, dałbyś już, ale, pokój téj polityce. Mówmy otwarcie, kilka tysięcy mniéj lub więcéj w kassie, to, ale, dla Referendarza bagatela, nie prawdaż?

BINOMSKI.

(*Patrząc mu w oczy ze zgrozą*).

A więc? —

POLETKO.

A więc, nie szkódź mi Jegomość, a ja nawzajem nie będę szkodził Jegomości, ale.

BINOMSKI.

Ja się niczego i nikogo, powiadam, nie obawiam. Ale któż panu powiedział, że mu chcę szkodzić?

POLETKO.

Co tam, ale, kto mi powiedział: dość, że wiem, że mi chcesz rachunkami urwać połę. Ja człek ubogi, mogę mieć dzieci jak się ożenię.... Krótko mówiąc, pan, ale, tak zrób, żebym nie stracił miejsca — a nie zrobisz, no, to wylecimy, oba, ale.

(GABRYEL *wchodzi z listami*).

GABRYEL.

Pocztarz przyniósł listy do pana — i do pana.

(*Oddaje jednemu i drugiemu*).

BINOMSKI (*do siebie*).

Nie przychodzę do siebie z zadziwienia! Oto mi co się zowie problema! — Ten człek psu oczy przedał. Gubię się w domysłach.

POLETKO (*przeczytawszy list*).

Dla BOGA! pan Referendarz może już w drodze.

(*Do* BINOMSKIEGO *cicho*).

Sekret, panie, co do moich rachunków, albo ja odkryję inny sekret co do naszego panicza. Ręka rękę myje, panie Profe — chciałem rzec Nauczycielu. Do zobaczyska, ale. (*Odchodzi z* GABRYELEM).

SCENA DRUGA.

BINOMSKI (*sam*).

Czy go djabeł opętał tego, powiadam, szalbierza! Niebadany wyśpiewał, dość wyraźnie, kręcielstwo jakieś w administracyi. To jedna nadzwyczajność! a druga większa, powiadam, żem ja się tego nie dopatrzył. Rachunki jego regularnie, i podług mojéj metody, prowadzone. (*Patrzy w regestra*). Rezultata zadowalniające (*czyta*) *manet* w spichlerzu.... Aj, tam do stu drabów, czy rzeczywiście *manet?* — Nie przyszło mi zajrzeć do składów, co się tam święci.— Gdyby to żyd lub cygan, ale chrześcijanin, szlachcic! jak go było posądzać? — A tym czasem, dobrowolnie się przyznał, nie ma więc wątpliwości.— Co tu zrobić. Już ciż z nim w żaden układ nie wejdę! tpfy! — Ale coby to było za upokorzenie, żeby mnie ktoś oszukał w liczbach! w arytmetyce dać się wyprowadzić w pole exprofessorowi matematyki stosowanéj! to byłaby, powiadam *verecundia indolebilis* *)! — I taki to *nebulo* śmie mi jeszcze grozić! Sekret jakiś tyczący się Juljana! — Bałamuctwo.— W duszy mego ucznia czytam bez okularów: nic się w niéj nie ukryje przed mym bystrym wzrokiem.... Ale przeczytajmy ten list; to od Referendarza. (*Łamie pieczątkę*).

---

*) Sromota niezatarta.

SCENA TRZECIA.

BINOMSKI i KROCHMALSKA.

KROCHMALSKA.

Dzień dobry, drogi panie. Cóż tam z poczty? POLETKO mruknął, po swojemu półgębkiem, że Referendarz wybiera się do nas, może już w drodze, a w mojej apteczce wielki nieporządek.

BINOMSKI.

Mam list, alem go jeszcze nie czytał.

KROCHMALSKA (*wdzięcząc się*).

A więc czytaj, drogi panie.

(BINOMSKI *dobywa list z koperty i czyta go w milczeniu, ona ukradkiem zachodzi mu z tyłu i wspinając się na palcach zagląda do listu*).

A, dla miłości Pana BOGA! godziłoż się tak mnie udać? —

BINOMSKI (*Zlękniony*).

Kobieto! Bóg z tobą. Wstrzęsłaś mi, powiadam, wszystkie nerwy.

KROCHMALSKA.

Kobieta! — Ja kobieta? — Tego tylko brakowało do całéj téj szkarady! — Masz wiedzieć mój panie żem dla Wasana nie kobieta, ale pani Krochmalska, szlachcianka podwójnie, bo i po nieboszczyku mężu i z domu. Nerwy mu wstrzęsłam! patrzcie mi delikacika! a moje nerwy, proszę Wasana, z pieńki czy z rzemienia, żeby się nie miały potargać w kawałki, gdy mi kto, tak jak Wasan dojedzie? — Ach, mój najsłodszy Zbawicielu, otoż nagroda za moję przyjaźń, za staranie....

BINOMSKI.

Ale, powiadam, co to Acani?

KROCHMALSKA.

Za kawę czyściutką bez cykoryi, za rosołki, buljoniki, rumianki, synapizmy, wezykatorie....

BINOMSKI (*Zatykając uszy*).

Insana, mehercle, *) powiadam!

KROCHMALSKA.

Gadaj po łacinie, gadaj; a ja ci powiem po polsku żeś zdrajca, niewdzięcznik, gdy mi się tak wypłacasz za mój affekt. Alboż nie dla Wasana zrekuzowałam już raz panu Bartłomiejowi Poletce? A Wasan z tego układasz anekdotki!

BINOMSKI.

Obsessa a demoniis! **)

KROCHMALSKA (*Chwyta go za ramię*).

Obcesy, obcesy; — i cóż dziwnego żem w tym razie obcesowa, kiedyś mię oszkalował, w nagrodę za moję — tkliwość. Tak mój panie, teraz się przyznam, żem miała do Wasana słabość, której sobie nigdy nie przebaczę. Rozumiesz mię? słabość.

BINOMSKI (*Trąc się po ramieniu*).

Ja czuję, powiadam, siłę Acani — ale....

KROCHMALSKA.

Uczułbyś niewdzięczniku siłę mych słodkich uczuć, a odtąd uczujesz siłę méj nienawiści.

---

*) Dalibóg warjatka.

**) Opętana od czarta.

BINOMSKI.

Ani pierwszéj, ani drugiéj się nie spodziewałem, powiadam.

KROCHMALSKA.

Przez skromność taiłam pierwszą, ale co drugiéj to nie zataję. Wasan liczysz na to, żeś wpakował biednemu JULJANOWI tysiąc uczonych bredni do głowy, a ja go wypiastowałam i zrobiłam z niego ślicznego i rozumnego chłopca. Zobaczym komu w końcu pan REFERENDARZ, więcéj się będzie czuł obowiązanym.

BINOMSKI.

Powiedzże, kiedyś łaskawa, o co rzecz?

KROCHMALSKA.

Obłuda nad obłudy! Trzyma list w ręku, dowód swéj zdrady, i pyta!

BINOMSKI.

Ale w tym liście, powiadam....

KROCHMALSKA.

Nie słucham, bom go czytała przez plecy Wasana.. Może powiesz, że nie umiem czytać?

BINOMSKI.

Umiesz, ale źle, powiadam.....

KROCHMALSKA.

Źle czy dobrze, ale wyczytałam co do litery, że pan Referendarz bardzo kontent z téj anekdotki, comu Wasan posłałeś o Katarzynie i Bartłomieju. A któż ta Katarzyna?— Kto ten Bartłomiej?— Hę?— Złapanyś mój Jegomość! oszkalowałeś mnie, ale ci odpłacę za wszystkie moje krzywdy razem, a to tak, że ani się spodziewasz.— (*Odchodzi*).

Binomski (*Za nią*).

Stój! dla Boga! mylisz się, przeczytaj raz jeszcze....

Krochmalska.

Nie chcę, nie słucham, nie mylę się, nie chcę.

(*Wybiega*)

SCENA CZWARTA.

Binomski, (*Sam*).

Nowy kłopot, *et notum quid possit femina furens.* *) Gotowa powiadam mnie udusić, jakem Magister filozofji. Oto żem się pięknych rzeczy dowiedział— aż dreszcz mi przebiegł po żyłach!... wolę że się rozdąsała jak żeby— tpfy do licha! — Ale cóż ona wyczytała w tym liście na swój rachunek?.. A, a, oto zapewna ten kawałek o Katarzynie Medici i o nocy S-go Bartłomieja. Posłałem Referendarzowi nieznajomą jemu anegdotę z téj straszliwéj epoki, on tu o tém wzmiankuje, a ta czeczotka, co ledwie zgłoskować umie, uchwyciła imiona Katarzyny i Bartłomieja i posądziła mię o jakieś tam plotki. *Bene invenit...* **) Ba! co najgorszego dla mnie ztąd może wyniknąć, to że się z dobrą kawą pożegnać przyjdzie. Nie myślmy o tém, *relinquitur nugas.* Poletko wbił mi gorszego w głowę klina, powiadam. Rachunki jego trzeba koniecznie od A do Z prześledzić, to herkulesowa robota. Juljan musi mi w tém dopomódz, on rachuje wyśmienicie, ile razy nie wpadnie w jakieś dumanie co

---

*) A wiadomo co zdoła niewiasta w złości.

**) Dobrze trafiła.

go od pewnego czasu napastuje..... Ale gdzież się on podział? — Czy nie wyprowadził go w pole Gabrjel z fuzyjką? — Istny to Nemród ten stary samopał, *feras consumere natus.* *) Ale taka wola Referendarza, żeby Juljan prześladował zwierzęta; ma to go zabespieczać od innéj namiętności. Przesąd, powiadam. Praca umysłowa, oto mi antidotum od wszelkiéj złéj pokusy. *Ora et labora* **) mawiali mądrze bogobojni przodkowie (*idzie do stolika* Juljana *i przegląda papiery*). Co u stu drabów! Dyssertacya ledwie napoczęta — Zadanie z Algebry nie rozwiązane. *O pigritia! o negligentia!* ***)

SCENA PIĄTA.

Binomski i Juljan.

Juljan.

Widzę kochany nauczycielu, żeś odkrył moję niedbałość. Ach nie gniewaj się się na mnie, bom nieszczęśliwy, bo przychodzę szukać u ciebie pomocy, rady, ratunku.

Binomski.

Dla Boga! cóż ci to mój synu? — Gniew mój wiesz dobrze niestraszny, tyś to mię przestraszył tém co mi powiedziałeś z takim wyrazem boleści w głosie i na twarzy.

---

*) Zrodzony do niszczenia zwierząt.

**) Módl się i pracuj.

***) O lenistwo! — o niedbałości!

JULJAN (*Rzuca mu się na szyję*).

O znam twoję dobroć, twe ku mnie przywiązanie. Gdyby mnie też nieczułość mego ojca, w inne oddała ręce.

BINOMSKI (*Z żywością*).

Nie mów tak moje dziecię — Grzeszyłbyś śmiertelnie posądzając zacnego rodzica twego o nieczułość.

JULJAN.

A jakże mam nazwać ten jego dziwaczny system mojéj edukacyi? — Zamknąć mnie w téj wsi odludnéj i wszystkie kroki moje poddać najsurowszéj kontroli. Chcieć zrobić ze mnie rodzaj automata. Mam przecie dwadzieścia lat blizko.

BINOMSKI.

Jeszcze trzy lata Juljanku, a będziesz wolny jak ptak w powietrzu, powiadam, wyjąwszy, że się ożenisz.

JULJAN.

Chcesz mówić, dadzą mi żonę, czyli oddadzą mnie jéj. Nie, tego już nie dokażą.

BINOMSKI.

Nie stracisz na tém mój synu, bo wyborem dla ciebie żony kierować będzie mądrość i miłość rodzicielska. Co się zaś tyczy systematu twéj edukacyi, pan Referendarz, uważasz, nieprzyjaciel empiryzmu, ułożył swój plan filozoficznie i oparł na wnioskach a *priori*. Teorja, mój synu, byle tylko gruntowna, nie może omylić. Otoż, powiadam, podług wyrozumowanego planu twojego ojca, wypadło wychować ciebie w tém ustroniu, z największą atoli starannością. W tym celu, gdy obowiązki urzędu zmusiły go do zamieszkania w Warszawie, przelał na mnie *ad interim* rodzicielską władzę; ja mu zaś dać mu-

siałem uroczyste słowo, że się w niczém nie oddalę od danéj mi na piśmie instrukcyi. Sumienie i honor nakazują mi szkrupulatne wykonywanie mojego obowiązku; przywiązanie zaś ku tobie skłania mię do osładzania ci, ile można, twego położenia.

JULJAN.

Wiem ile ci za to, kochany mój nauczycielu, powinienem być wdzięcznym. Kocham cię też więcéj jak ojca, i na dowód tego chcę ci się ze wszystkiego wyspowiadać.

BINOMSKI (*przestraszony*).

Cóż usłyszę? nie spodziewałem się, powiadam, żebyś miał jaką tajemnicę.

JULJAN.

Ach, i wielką — straszną nawet.

BINOMSKI.

Straszną!! — Widzisz me przerażenie.

JULJAN.

Straszną, bo przeciwną zupełnie woli mego ojca.

BINOMSKI.

Woli pana Referendarza! — O, ja nieszczęśliwy! — Czyś się broń Boże nie zakochał? — powiedz, że tak nie jest. Wszystkie inne swawole gotowem ci przebaczyć, tylko nie tę słabość, od któréj obowiązałem się strzedz ciebie, jak od morowéj zarazy.

JULJAN.

Strzegłeś też wszelkiemi sposoby, ale jestże w mocy ludzkiej uczynić serce młodzieńcze nieprzystępnem temu najpotężniejszemu uczuciu?

Binomski (*chwyta się za głowę*).

Przepadłem! zginąłem! powiadam.— Julianie opamiętaj się.

Juljan.

Ach już nie czas. Rzeczy zaszły za daleko.

Binomski.

Może nie tak daleko, jak ci się to wydaje? Ja sam, powiadam, raz w młodym wieku, tpfy!—uczułem cóś podobnego do córki mego professora, ale ś. p. mój ojciec, niech mu Bóg da niebo, dowiedziawszy się o tém, taką mi sprawił łaźnię, że od razu, powiadam, opuściła mię ta choroba.— Mówię to tylko wreszcie *exempli gratia*, nie zaś żebym....

Juljan.

Ach nie tego się obawiam. Największa boleść jest dla mnie w myśli, że cię srodze zmartwię, że narażę na zerwanie stosunków z mym ojcem, któremu sprzyjasz.

Binomski.

Więc nie martw, do stu drabów! nie narażaj mię na to, powiadam. Wszakże to w twéj mocy. Łzy Dydony, pomnisz trapiły srodze Eneasza, ale: „*Mens immota manet, lacrymae volvuntur inanes*" *). Oto wzór, jaki nam nieśmiertelny Maro podał do naśladowania. Zwycięż więc i ty siebie jak Eneasz.

Juljan.

Po czasie już, po czasie! — bom ja...

Binomski.

Bo zobowiązałeś się nierozważną obietnicą? fraszka

*) Dusza w nim niewzruszona, łzy daremnie płyną.

mój synu, choćbyś przysiągł, i to nic — Co też mówię? zapominam się — ależ ty nie przysięgał? nieprawdaż? —

JULJAN.

Przysiągłem — i przed ołtarzem.

BINOMSKI (*upada na krzesło*).

A, niechże jasny piorun! - - żonatyś?

JULJAN.

Tak jest, żonaty.

(*Chwila milczenia*).

BINOMSKI (*powstaje*).

Consummatum est. Składajmy nasze manatki. Ja, panu Referendarzowi już się na oczy nie pokażę, a pan Juljan niech robi co mu się podoba. Edukacya Waćpana skończona, nie mamy już nic z sobą do czynienia.

JULJAN.

Strofuj mię, bij wreszcie, ale mię nie opuszczaj o ty mój jedyny przyjacielu!

(*Ujmuje go wpół z czułością*, BINOMSKI *słabo mu się opiera*).

Miéj litość nademną!

BINOMSKI (*trochę zmiękczony*).

Litość? — A ty byłżeś dla mnie litościwy, kiedyś mię grążył w tę przepaść! Alboż nie znasz impetu twego ojca? Wypędzi nas wszystkich z domu powiadam.

JULJAN.

Ciebie szanować będzie jak starego przyjaciela, na nas to spadnie gniew jego, i co do mnie zniosę go z rezygnacyą, ale ją niewinną widzieć wystawioną na wybuch téj zapalczywości — o, to nie jest w méj mocy.

BINOMSKI.

Niewinną? — a pocóż u stu drabów, szła za ciebie? —

czemu nie miała więcéj rozumu w głowie ?— Któż ona ?— Broń Boże nieszlachcianka, to już się z nią wybieraj do antypodów.

JULJAN.

Równa mi rodem, a wyższa odemnie przymiotami duszy.

BINOMSKI.

Ta, ta, ta! styl zwyczajny rozkochanych szaleńców. Dzięki jednak niebu, że przecie nie plebejuszka. Jak, i gdzieś ją zobaczył?

JULJAN.

Przez teleskop.

BINOMSKI.

Przez teleskop! — który nam przysłał Referendarz na moję prośbę! — Mógłżem był przewidzieć tak szkaradne nadużycie tego przedziwnego instrumentu!— Piękne studium! zastosowanie astronomji do zalotów, powiadam. Największa profanacya jaką ta Boska nauka od czasów jéj wynalazku do dziś dnia ponieść mogła!

JULJAN.

Uderzony jéj wdzięcznym widokiem czatowałem na chwilę zbliżenia się do niéj, i to mi się udało w naszym parafialnym kościele.

BINOMSKI.

W kościele! to znowu profanacya, i gorsza od pierwszéj, bo domu Bożego. Ach, mój synu, w jakże cię głęboką przepaść wtrąciła twója ciekawość. Ja za kościołem nawet kobietom w oczy nie zaglądam i dla tegom się dotąd nie oparzył. Gdzież jéj mieszkanie?

Juljan (*ukazując przez okno*).

Tam oto za rzeką, w domku tym samotnym, otoczonym drzewami.

Binomski.

Za rzeką? w cudzéj gubernji?— No proszę, czy mogłem śnić nawet, że ty tam będziesz latał?— Jakżeś przebywał rzekę?— Włosy mi się jeżą na głowie.

Juljan.

W łódce rybaka.

Binomski.

Nowy Leander, jak Boga kocham!— Sto razy mógł się utopić a jam nic o tém nie wiedział, tak, tak, domyślam się już teraz, że podczas kiedym siedząc na gołębniku, przypatrywał się przez teleskop księżycowi, mój uczeń tym czasem po księżycu puszczał się na fale.

Juljan.

Znalazłem Marją.

Binomski.

Imię bohaterki poematu Malczewskiego, *sinistrum omen* *).

Juljan.

Znalazłem ją pielęgnującą chorą swoję matkę, osobę czcigodną: ta mię zrazu przyjąć nie chciała, lecz po wielkich usiłowaniach ubłagałem ją nakoniec.

Binomski.

O, kobiety, kobiety! — Ma racyą Referendarz.

*) Zła wróżba.

JULJAN.

Marja była mi wzajemną; matka czując się blizką zgonu i w bojaźni zostawienia jedynego dziecka bez przytułku, bez opieki, zgodziła się nas połączyć.

BINOMSKI.

I popchnęła córkę na Scyllę, chcąc ją uchronić od Charybdy.

JULJAN.

Tydzień temu trzeci jakeśmy się sekretnie pobrali, a we trzy dni po ślubie pogrzebliśmy matkę.

BINOMSKI.

Requiescat; aleby lepiéj zrobiła nie brać tego grzechu z sobą do wieczności.

JULJAN.

Przed śmiercią napisała list do mego ojca i zostawiła go Marji.

BINOMSKI.

Groch o ścianę. Cóż w tym liście? Frazesa, deklamacye, rodzaj którego Referendarz nie cierpi i ma racyą powiadam.— No, i cóż teraz będzie?

JULJAN.

Trzeba naprzód obmyślić schronienie dla mojéj żony, bo ten domek w którym mieszka, zabierają za długi.

BINOMSKI.

A cóż ja poradzę? tu jéj przecie wprowadzić nie można.

JULJAN.

Jéj miejsce jest tutaj ze wszystkich względów; trzeba tylko przebłagać mego ojca.

BINOMSKI.

Bagatela!— *Emollire petram* *) powiadam. Ja tego na siebie nie biorę.

JULJAN.

Na tobie jednak cała nasza nadzieja.

BINOMSKI.

Źleście ją zagruntowali.— Ja, powiadam, ucieknę.

JULJAN.

Zobacz tylko Marją, a nie będziesz miał serca jéj złorzeczyć.

BINOMSKI.

Złorzeczyć jéj nie będę, bo jest twoją żoną, luboś i ty nic dobrego, powiadam; ale widzieć jéj nie chcę, bo to się na nic nie przyda.

JULJAN (*spójrzawszy przez okno*).

Mniemam, że ona tu jest blizko.

BINOMSKI (*przestraszony*).

Oszalałeś chyba!

(*Juljan zamyka drzwi środkowe, wyciąga klucz i wybiega bocznemi drzwiami*).

Cóż to jest? zamknął mnie na klucz, a sam się zamknął w méj sypialni!— Ach mój Boże! *Complementum calamitatis* **)! Chłopiec utracił zmysły. Pięknie się z nim teraz pokazać przed ojcem: żonaty i warjat, to jest dubeltowy warjat.... Już i mnie się cóś w głowie przewraca. Referendarz znajdzie swój dom przeobrażonym w Bedlam. (*puka do drzwi sypialni*) Juljanie!

---

*) Zmiękczyć kamień.

**) Domiar nieszczęścia.

JULJAN (*ze środka*).

Zaraz, zaraz! —

BINOMSKI (*przysłuchując się*).

Co on tam, u stu drabów, robi?— Okno brzękło — chce się może rzucić — ale nie — Okna z téj strony od ogrodu niziutko... Broń Boże by sobie zrobił co złego. Juljanie! co tylko chcesz zrobię, tylko się nie zabijaj.

(*Drzwi się otwierają*).

Co widzę nieszczęśliwy!

(*Cofa się zakrywając ręką oczy*).

SCENA SZÓSTA.

BINOMSKI, JULJAN, MARJA.

JULJAN.

Przyjacielu, oto moja żona. Marjo, oto mój nauczyciel, mój drugi ojciec, proś go, błagaj, aby nas nie opuszczał.

BINOMSKI (*cofając się zawsze*).

Czary! — *Fascinatio!* Niewiasta w mojéj sypialni! — Jakim sposobem? —

JULJAN.

Wprowadziłem ją tam z ogrodu przez okno, bo innéj bezpiecznéj nie było drogi.

BINOMSKI.

Ach czemużem okien moich nie zakratował? — Co o mnie ludzie pomyślą! —

JULJAN.

Opamiętaj się kochany nauczycielu, toż jest żona twego ucznia, twego syna.

BINOMSKI.

Daj mi pokój, nie chcę ojcowstwa, wyrzekam się nawet nauczycielstwa. Wyjdę tém oknem, którém do mnie weszło nieszczęście, i pójdę gdzie mię oczy poniosą.

JULJAN.

Na miłość Boga! co chcesz czynić (*wstrzymuje go*).

MARJA (*do* JULJANA).

Kochany mężu, omyliłeś się widzę na twym nauczycielu; wystawiłeś mi go jak człowieka łączącego w sobie moc charakteru z czułością i dobrocią serca.

BINOMSKI.

Cóż to? nie mam mocy charakteru? — (*na stronie*) skonfundowała mię trochę.

MARJA.

Każesz mi przynajmniej o tém wątpić. Mędrzec prawy nie traci i w najgorszym razie przytomności umysłu i odwagi...

BINOMSKI (*zmięszany*).

Już ciż wiém przecie — *Si fractus*....

MARJA.

A czuły człowiek nie usuwa ręki błagającemu o ratunek, a cóż dopiero przyjacielowi, uczniowi.

BINOMSKI.

Jakem Magister, prawda (*do* JULJANA *zcicha*). Dalibóg, niepospolita kobieta. (*do* MARJI) Mościa dobrodziko, zdarzają się w życiu chwile, w których człek z charakterem i z sercem wygląda jakby mu ich brakowało.

MARJA (*z gracją*).

Na to się zgadzam najchętniej i widzę, że tu właśnie tak być musiało. Chciej mi pan przebaczyć błąd

mój mimowolny i udziel mi prawa do swéj przyjaźni; staraniem moim będzie stać się jéj godną.

(*Podaje mu rękę, którą on całuje z uszanowaniem*).

BINOMSKI.

Miałabyś pani mnie na swoje usługi gdyby to odemnie zależało, ale racz zważyć ną me położenie... (*na stronie*) Czuję się rozbrojony i *quasi perplexus*. O, kobiety, kobiety, wierutne syreny! — Referendarz ma racją.

JULJAN (*cicho do* MARJI).

Zmiękczyłaś go. Weźmie naszą stronę.

(*rozmawiają z sobą cicho*).

BINOMSKI,

(*Spójrzawszy na* MARJĄ, *do siebie*).

I piękna *mehercle*! klassycznie piękna. Ale cóż mówi Propertius? *Formosis levitas semper amica fuit* *) Referendarz ma racją. Trzymaj się więc.

MARJA (*do męża*).

O, ja pojmuję całą trudność położenia twego zacnego nauczyciela Juljanie. Heroizmu trzeba żeby się dla ciebie poświęcił po tém co się stało. Okazałeś się mu nieposłusznym, niewdzięcznym...

BINOMSKI.

Tak, tak Juljanie, takim się okazałeś.

MARJA.

Wystawiłeś go na wyrzuty twego ojca, na zerwanie może z nim na zawsze stosunków przyjaźni.

---

*) Lekkomyślność bywa zawsze przyjaciółką piękności.

Binomski.

Największa prawda. Na to mnie wystawiłeś.

Marja.

Drugiby tobie tego nie przebaczył; ale on — o, dość jest wpatrzyć się w rysy téj szlachetnej, otwartéj fizjognomji, aby się upewnić, że i taka ofiara nie będzie dlań niepodobną.

Binomski (*na boku*).

Trudno się oprzeć tak słodkiej wymowie.

Marja.

Odmówił ci zrazu, bo mu sumienie wzbraniało pobłażania postępku, który sama to wyznać muszę, nie mógł się nie wydać mu nagannym. Jeżeli się więc jeszcze waha wyciągnąć ku tobie ratującą rękę, nie czyni tego, pewna jestem, z innéj obawy, jedno żeby się nie stał wspólnikiem niejako obrazy uczynionej od ciebie ojcu twemu, a tém samem nie uchybił przyjętemu na się obowiązkowi.

Binomski.

Tak, tak, nie inaczéj. Pani czytasz na méj duszy.

(*Na stronie*).

A, w saméj rzeczy wybor Juljana daje się poniekąd usprawiedliwić.

Marja (*zawsze do męża*).

Czemuś go od początku nie zrobił twym powiernikiem? czemuś go nie przyprowadził do méj nieboszczki matki? —

(*Do Binomskiego*).

Ach gdybyś pan był poznał moję matkę widział nędzę w jaką pogrążyły ją niezasłużone nieszczęścia, zna-

lazłbyś naturalném wzruszenie serca Juljana, serca któreś sam ukształcił, w którém rozwinąłeś cnotliwe szlachetne uczucia. Nie chciałbyś mu wzbronić słodyczy znanéj tylko duszom prawym, pocieszania strapionych, kojenia bolu cierpiących.

BINOMSKI.

Tegobym mu nie wzbraniał, ale zgłębiając aż do gruntu pobudki co go tą razą wiodły do łoża nieszczęśliwéj, cierpiącéj, znalazłbym cóś innego jak cnotę litości.

(MARJA *spuszcza oczy*).

Na polu argumentacyi nie dam się łatwo pokonać, to moja silna strona, Mościa dobrodziejko.

JULJAN.

Będziemy więc szturmować do twego serca.

BINOMSKI.

Ty wiesz, na nieszczęście, jakém z téj strony źle obwarowany, a podwoiłeś jeszcze twe siły wprowadzając w bój ze mną takiego jak twoja żona sprzymierzeńca. Sam uważam, że serca mego przed wami nie uchronię.

(JULJAN *i* MARJA *ściskają mu ręce*).

No, i cóż z tego, że już się wam opierać nie mam prawie siły? — Jestże jaki śrzodek ratunku, gdy Referendarz.....

(*Stukanie do drzwi*).

Kto tam?

GABRYEL (*za drzwiami*).

Pan Referendarz wjeżdża w bramę.

(*Przerażenie.* MARJA *chwieje się,* JULJAN *ją wspiera,* BINOMSKI *bez przytomności biega po scenie — zasłona spada*).

Akt II.

SCENA PIÉRWSZA.

(Pokoj bawialny).

POLETKO i KROCHMALSKA.

POLETKO.

I Asani widziałaś, ale, sama?

KROCHMALSKA.

Na własne oczy, to jest na własne uszy słyszałam głos kobiecy w pokoju Binomskiego.

POLETKO.

Między widzeniem — a słyszeniem — jest, ale różnica.

KROCHMALSKA.

Nie chcesz wierzyć, nie wierz sobie......

POLETKO.

Chciałbym z duszy — ale się boję bez fundamentu pewnego..

KROCHMALSKA.

Szukajże sobie fundamentów (*chce odejść*).

POLETKO.

Stójże Asani! — Dalipan w gorącej wodzie kąpana!

KROCHMALSKA.

Kiedyż bo z Wasana nudziarz, i przytém niewierny Tomasz.

POLETKO.

Ależ bo to nie żarty dobrodziko. Ten bakałarz w potężnym u pana respekcie. Uważałaś jak się z nim witał, jak go całował? z nami nie tak.

KROCHMALSKA.

Chciałeś może żeby i mnie pan Referendarz pocałował?

POLETKO.

Gdzież tam? — On, ale, nie cierpi kobiet.

KROCHMALSKA.

A przeciem tu Ochmistrzynią?

POLETKO.

Tak, ale możesz stracić miejsce jeżeli nie wyforujemy ztąd Binomskiego. Jam go dotąd miał także za nieprzyjaciela płci żeńskiej.

KROCHMALSKA (*wdzięcząc się*).

Mogłabym cóś przeciw temu powiedzieć, ale nie chcę, bo wiem żeś Wasan zazdrośny; byłaby historya. To tylko powiem, że Binomski ma oczy dla piękności.

POLETKO (*do siebie*).

Czy nie dla twojéj, stara umizgalsko? — (*głośno*) zgoda na wszystko, byle mu podsadzić klina.

KROCHMALSKA.

Klin gotowy, przyłoż tylko rękę.

POLETKO (*drapiąc się w głowę*).

Tak, ale jak pęknie, to samego czasem wysadzi. Ja go myślałem zażyć z innéj beczki: nasz panicz lata za rzekę: otém, ale, wiem.

KROCHMALSKA.

Bajka, ja go piastowałam, ja naskróś go znam; on nie ma wyobrażenia.......

POLETKO.

No, no, za to ręczyć śmiało nie radzę. Tym czasem lepiéj będzie gdy o ten grzech samego nauczyciela przekonamy.

KROCHMALSKA.

Zapewne, że lepiej. Ja mego Juljanka nikomu krzywdzić nie dam, a Binomskiego zdrajcę utopiłabym dziś w łyżce wody.

POLETKO.

Zgoda! Więc Asani, ale, zaczynaj.

KROCHMALSKA.

A czemuż nie Wacan?

POLETKO.

Bo Asani sama słyszałaś głos.

KROCHMALSKA.

A Wacan słyszałeś go przezemnie, to jakby na własne swoje uszy. Patrzcie jaki niewierny, a stara się o moję rękę.

POLETKO (*z przymileniem*).

Bo Asani, ale, kochana pani Katarzyno, masz odemnie więcej dowcipu, i także więcej, ale, względów u pana.

KROCHMALSKA.

Chyba że to.

POLETKO.

Cyt! słyszę chód jegomości.... Zostań tu i szepnij mu

mądrze słówko, ja zaś rozstawię czaty wkoło domu, żeby ptaszek, jeśli jest, nie uleciał.

(Wychodzi średnicmi drzwiami a Referendarz *wchodzi bocznemi).*

SCENA DRUGA.

Referendarz, Krochmalska.

Referendarz.

Nie spodziewaliście się mię dzisiaj hę? wpadłem jak bomba.

Krochmalska.

Zaświeciłeś nam jegomość jak słoneczko w jesieni, niespodzianie.

Referendarz.

Dziękuję ci moja staruszko, za życzliwość *(na stronie)* każda z nich, póki duch w ciele ma zawsze w zapasie jakieś pochlebstwo.

Krochmalska *(na stronie).*

Staruszka! a sam niby to młodszy.

Referendarz.

Wszystko u was było spokojnie?

Krochmalska.

Dzięki Bogu, dotąd jak w niedzwiedziem uchu.

Referendarz.

Juljanek coś zmizerniał.

Krochmalska.

Nie dziw JW. panie; męczą go naukami, a dziecko potrzebuje rozrywki, żeby było zdrowe.

Referendarz.

Proszę tylko ciebie moja Krochmalsko nie suszyć tém sobie głowy. To rzecz pana Binomskiego, on to potrafi bez pomocy kobiét.

Krochmalska.

Oj! pan Binomski....

Referendarz.

Cóż?

Krochmalska.

Zaczął trochę myślić o własnéj rozrywce...

Referendarz.

Co to?—Co za rozrywka? pleciesz trzy po trzy!

Krochmalska.

Jeżeli to Jegomości dobrodzieja obraża, to milczę.

Referenrarz.

Mów mi prawdę, ale czystą prawdę, bo widzę z twéj miny, że masz cóś co cię korci.

Krochmalska.

Jak dobra sługa winnam memu panu prawdę. Ale Jegomość nie lubisz słuchać kobiét.

Referendarz.

Nie lubię, bo najczęściéj szczebiocą bez sensu. Ale tą razą chcę słyszeć.

Krochmalska.

Niechże Jegomość będzie łaskaw pamiętać, że mi rozkazał mówić, i niech się późniéj nie gniewa.

Referendarz.

No dobrze, niech cię miljon — więc gadaj.

Krochmalska.

Nie powiem jednak więcéj jak wiem.

REFERENDARZ.

A nieznośna gaduło!

KROCHMALSKA.

O ja lubię ostróżność. Otoż miałam mówić, słyszałam przezedrzwi. Niech Jegomość dobrze uważa, nie mówię widziałam, ale słyszałam.

REFERENDARZ.

Ostatni raz cię słucham.

KROCHMALSKA.

Jeszczem nie powiedziała a Jegomość już się gniewa.

REFERENDARZ.

Nie gniewam się tylkoż prędzéj.

KROCHMALSKA.

To co innego. Otoż słyszałam przezedrzwi, i to przypadkiem, nie podsłuchując, głos kobiécy w pokoju pana Binomskiego.

REFERENDARZ.

Cha, cha, cha, a niechże cię miljon!— Kobiéta u Binomskiego? Toś mi piękną powiedziała prawdę; chyba jaka biedna stara żebraczka.

KROCHMALSKA.

Głos był młody, jak dzwoneczek.

REFERENDARZ.

W uszach ci zadzwoniło stara wścibsko — Binomski sam na sam z młodą kobietą! cha, cha, idź do licha, i nie waż mi się więcej przychodzić z takiemi nowinami, bo cię wypędzę. Ruszaj do swojej kądzieli.

KROCHMALSKA (*płacząc*).

Zawsze taka nagroda wierności. Teraz już nic nigdy Jegomości nie doniosę, choćby się dom palił. (*odchodząc*) To Poletko mię na ten hak wystrychnął.

SCENA TRZECIA.

REFERENDARZ (*sam*).

Binomski w zalotach! — Czego też to złość niewieścia nie wymyśli! — stara kwoka utopiłaby w łyżce wody poczciwego pedanta, bo instynktowie go nienawidzi jako *Mizogina* *). Z tej strony mogę być spokojnym, a jeżeli się czego lękam to częstych dystrakcyi sawanta, a nadewszystko namiętnego matematyka; zatopi się w sekcjach koniczuych, zapatrzy się na Wenerę niebieską, a tymczasem Juljan ujrzy jaką ziemską i w niwecz cały mój plan obróci — (*usiada w postawie dumającego*) Wiem, że wszyscy prawie zarzucają mi zbyteczną względem syna surowość, myślą może żem nieczuły! — Ach ja go szczerze kocham, i dla tego właśnie strzegę go jak źrenicę oka. — Kto, jak ja, był nieszczęśliwym w miłości i w małżeństwie, nie może być nadto ostróżnym w wyborze żony dla syna.... ale poco sobie przeszłość przypominać? myślmy raczéj o przyszłości Juljana — (*dzwoni*).

---

*) Nieprzyjaciela kobiet.

SCENA CZWARTA.

REFERENDARZ i GABRYEL (*trochę podchmielony*).

REFERENDARZ.

Nie masz mi czego donieść o panu Juljanie?

GABRYEL.

O mam, Jaśnie panie, na łosiéj skórze by nie spisać.

REFERENDARZ.

No, no, cóżby tam? —

GABRYEL.

Taki się zrobił zuch z niego, taki myśliwy że ha! — Strzela, powiadam panu, jak nieboszczyk pan Łowczy rodzic pański.

REFERENDARZ.

Ale Waść mu zawsze towarzyszysz? zawsze go masz na oku?

GABRYEL.

Bezemnie wróbla nie zastrzeli.

REFERENDARZ.

Nie widziałeś tu czasem jakiéj kobiéty?

GABRYEL.

Co dzień widzę — Boże odpuść.

REFERENDARZ.

Kobiéty?

GABRYEL.

Naszą Ochmistrzynię — Oj mówię Jaśnie panu, że ta kobiéta stanie za sto.

REFERENDARZ.

Idź do djabła, zawołaj do mnie Poletkę.

Gabryel (*odchodząc do siebie*).

He, he, he, mam iść do djabła szukać naszego dyspozytora. Jeszcze zawcześnie, jeszcze go można znaleźć w oficynie.

Referendarz.

A tyś łyknął, jak uważam, stary?

Gabryel (*wraca*).

Za zdrowie pańskie, na radośne przybycie; ale jeszczebym bez pudła odstrzelił Krochmalskiéj korek u trzewika, jak za czasów ś. p. Łowczego (*Odchodzi*).

Referendarz (*sam*).

Poczciwy z kośćmi, ale na starość zaczął się jak uważam zakrapiać. To już zły stróż; trzeba go ulokować na łaskawym chlebie, a przyjąć drugiego bez nałogu.— Wprawdzie położenie téj wsi doskonale odpowiada memu zamiarowi. Na mil kilka dokoła lasy, żadnego sąsiedztwa, a na rzece niéma przewozu; trudna więc kommunikacya, z cudzą zwłaszcza gubernją. (*Patrzy przez okno*) Trzeba się jednak dowiedzieć kto tam mieszka w tym białym domku między drzewami.

SCENA PIĄTA.

Referendarz i Poletko.

Referendarz.

Jakże Waścine gospodarstwo?—

Poletko.

At zwyczajnie Panie dobrodzieju jak w złym, ale, roku.

REFERENDARZ.

Pan Binomski chwalił owszem tegoroczne plony, i, sądząc ze ściernia na rżysku, żyto przynajmniéj musiało być dobre.

POLETKO.

Użętek niezły, ale wymłót nie daj Boże. Pan Binomski nie widział pola jedno tylko od dworu to jest wygony: w koniec ani zajrzał, ale.

REFERENDARZ.

A w folwarku?

POLETKO.

Jeszcze, ale, gorzej Panie dobrod. tam grunt borowy, spaliło, ale.

REFERENDARZ.

Gorzałkę przedałeś?

POLETKO.

Przedałem ale bardzo mało. Nie kupują, i ceny nieosobliwe.

REFERENDARZ.

Niepocieszne mi Waść zwiastujesz sperandy. A ja potrzebuję pieniędzy.

POLETKO.

Pieniądze być muszą w kassie, ale.

REFERENDARZ.

Bardzo ich tam mało, jak mi powiadał pan Binomski.

POLETKO.

Kassa panie nie pod moim, ale, kluczem.

REFERENDARZ.

Cóż ztąd pod czyim kluczem? Waść przecie pobierasz intraty, tyle więc tylko jest pieniędzy w kassie, ileś ich tam włożył.

POLETKO.

Niech się Pan dobrodz. nie gniewa na mnie prostego człeka; albo ja winien, ale, żem nieuczony?

REFERENDARZ.

Nie rozumiem Waści.

POLETKO.

Oto widzi, ale, Pan dobrodz.—od czasu jak pan guwerner zaprowadził Bu—bu—buchhalterją — czy jak się ona, ale, zowie — niéma cóś ładu, i już wola pańska, ale ja za moje regestra nie odpowiadam. Bruljony, dzienniki; pisz a pisz, w głowie się kręci; ja prosty człowiek, ale, Panie dobrodzieju.

REFERENDARZ.

I dla tegoby intrata się uszczuplała, że Waść ją reguIarniéj niż dawniéj zapisywać musisz?

POLETKO.

Nie dla tego Panie dobrodz., ale że moje regestra przepisuje ktoś inny.

REFERENDARZ.

Ten ktoś inny jest człowiek któremu ufam, i który na tę ufność zasługuje. Radzę więc Waści nie udawać gapia: taki wybieg nie uda się zemną. Wybyście jak uważam chcieli podać mi Binomskiego w podejrzenie, ale im więcéj się oto starać będziecie, tém więcéj mu będę ufał. Patrz więc żeby on mnie o Waści dał dobre świadectwo.

POLETKO (*na stronie*).

Źle! (*głośno*) Ale chowaj Boże Panie dobrodzieju, pan Binomski jest człek najzacniejszy. Widzę żem cóś po-

wiedział niedorzeczy, ze smutku że nam Bóg nie daje urodzaju, ale, broń mię Boże ogadywać pana Binomskiego.

Referendarz.

Teraz Waść mówisz rozsądniej. Starajże się więc i gospodarować lepiej niż odtąd. Obowiązki urzędu oddalają mię od domu, cała tedy nadzieja na poczciwości sług. Niepoczciwy dyspozytor wyższej wart szubienicy jak uliczny złodziej.

Poletko.

Święta ale, prawda. Jabym takiego, panie, powiesił własnemi ale rękoma.

Referendarz (*śmiejąc się*).

Brońże cię Boże od samobójstwa panie Bartłomieju.

Poletko (*ściska go za kolana*).

JW. pan facetuje: ale wolne żarty ze sługą.

Referendarz (*idąc do okna*).

Nie wiesz kto tam mieszka za rzeką w białym domku?

Poletko (*na stronie*).

Co tu powiedzieć żeby się znów nie poszkapić? (*głośno*) Dawno już tam byłem; cudza, ale, gubernja.

Referendarz.

To bardzo źle; kazałem Waści przecie zaglądać i na tamten brzeg rzeki.

Poletko.

Pamiętałem — dowiadywałem się — Tam mieszkała jakaś, ale, Imość.

Referendarz.

Ha! przeczuwałem to.

Poletko.

Umarła, ale.

REFERENDARZ.

Tém lepiéj; ale kto tam teraz mieszka?

POLETKO.

Nikt zapewna ale.

REFERENDARZ.

Jak to nikt?—Więc chyba djabeł jeść tam sobie gotuje, bo z komina się przecie kurzy na dobre. Aj, aj, panie Bartłomieju, zależałeś bratku pole. Gabryel zagląda do dzbana, Krochmalska wierci językiem jak wrzecionem. Jeden tylko Binomski wierny swym obowiązkom. Ale cóż on poradzi przeciw trzem. Idź że mi Waść i dowiedz się, czy to duch nieboszczki, czy też żywa jaka istota w piecu tam pali. Musi być przecie łódź jaka z téj strony?—

POLETKO.

Jest, ale dziurawa.

REFERENDARZ.

Sam więc będziesz sobie winien jeżeli utoniesz; wreszcie spuszczaj się na przysłowie—wiesz?—Kto ma.

POLETKO.

Wiem, wiem, Panie dobrodz. że pan lubi, ale, facetować ze swym sługą. Sprobuję, ale gdy broń Boże utonę?

REFERENDARZ.

Nie będziesz wisiał—rzecz oczewista; ale mnie się cóś zdaje, że nie utoniesz.

POLETKO.

Facecyjki; pan się nie odmienił, zawsze lubi sobie pożartować. Na zdrowie.

(*Odchodzi mrucząc do siebie*).

Jeżeli Krochmalska tą razą nie kłamie przypiecze się i Binomskiego grzanka.

REFERENDARZ (*sam*).

Co to może nawyknienie, nałóg.—Ten Poletko mię okrada, temu już Binomski nie zaradzi swoją buchhalterją, a takém jakoś przywykł do jego pociesznéj facjaty, tak mię bawi szalbierska rezygnacya, z jaką on znosi moje sarkazmy, jak je zowie facecyjki, że wątpię czy miałbym serce wypędzić hultaja.

(JULJAN *ukazuje się we drzwiach i chce się cofnąć*).

Czemuż wejść nie chcesz mój synu?—

SCENA SZÓSTA.

REFERENDARZ i JULJAN.

JULJAN (*nieśmiało*).

Bałem się—żebym nie przeszkodził.

REFERENDARZ.

Widzisz żem nie zajęty. Wszakżem tu przybył szczególniéj w chęci zobaczenia się z tobą.

(JULJAN *całuje mu rękę*).

Zmizerniałeś Juljanie; niespokojność jakaś maluje się się w twéj twarzy.—Czybyś był niezdrów?

JULJAN.

O, bynajmniéj. Zdrów jestem i zdaje mi się wesół.

REFERENDARZ.

Może cię pan Binomski nazbyt obarcza naukami?

JULJAN.

Pracuję z ochoty, nie z musu.

REFERENDARZ.

Ale się nudzisz w téj samocie?

JULJAN.

— Bynajmniéj. Przywykłem do tego sposobu życia, i nie chciałbym go zmienić.

REFERENDARZ (*na boku*).

Kłamie. Jest w tem cóś. (*głośno*) Słuchaj mój synu, ty ukrywasz przede mną głąb' twojego serca.

JULJAN (*pomięszany*).

Mój ojcze......

REFERENDARZ.

— Wzrok rodzicielski bystry jest, i rzadko się myla. Tyś nie kontent z twego położenia, pragniesz swobody.

JULJAN.

Upewniam.......

REFERENDARZ.

Nie przerywaj mi. Pragniesz swobody, i nic w tém nie naturalnego. Znudziła cię samotność, znużyła ciągła umysłowa praca. Już mi o tém napomykał twój nauczyciel, w bojaźni abyś nie stetryczał. Chciałbyś ujrzeć cokolwiek świata nieprawdaż?— Otoż ci przygotowałem niespodziankę. Robisz duże oczy — Tak, tak Julianie, ani się tobie śniło, żeby cel twoich życzeń spełnił się tak prędko. Binomski nawet nic o tém nie wie.

JULJAN (*niespokojnie*).

Cóżby to być mogło mój ojcze?

REFERENDARZ.

Jakto? nie domyślasz się?— przenikliwość jak widzę nie jest górującym w tobie przymiotem.— Podróż zagranicę; a cóżby innego być mogło?

JULJAN (*osłupiały*).

Za—za granicę!— na długo?—

REFERENDARZ.

No, no, nie zachoruj mi tylko z wielkiéj radości — na trzy lata.

JULJAN.

W towarzystwie Binomskiego? —

REFERENDARZ.

I w mojém także, za twojém pozwoleniem.— Wziąłem urlop nieograniczony.— Pakujże swoje manatki, ale Binomskiemu nic nie mów. Chcę starego sam ucieszyć tą wiadomością. On tego pragnął jak zbawienia duszy.— No, Juljanie teraz już się wesel — ale ty przeciwnie wyglądasz mi jak delikwent po wysłuchaniu wyroku śmierci; aniś mi podziękował nawet za spełnienie twych najgorętszych życzeń.

JULJAN (*klęka*).

O mój ojcze....

(*Chce mówić daléj, lecz głos mu się tamuje w piersiach*).

REFERENDARZ (*podnosząc go*).

Radość odjęła ci mowę. Wszystkie uczucia mają w perjodach swéj gwałtowności, jednostajne oznaki. Zastanawialiśmy się nieraz nad tém z Binomskim — ale otoż i on.

SCENA SIÓDMA.

CIŻ I BINOMSKI (*z papierami pod pachą*).

REFERENDARZ.

Cóż mi przynosisz kochany Archimedesie — Seneko— Juwenalisie? —

BINOMSKI (*podając zwoje*).

Raporta o studjach Juljana i o stanie kassy.

REFERENDARZ (*biorąc*).

Zawsze punktualny, zawsze akuratny jak chronometr. A cóż znaczy ten pakiet pod pieczęcią.

BINOMSKI (*trochę nieśmiało*).

Jest to powiadam memorjalik, *tibi Domine soli*, na który pan Referendarz dobrodziéj raczy rzucić okiem w wolnéj godzinie.

REFERENDARZ.

Dziękuję ci za to pozwolenie, bo w téj chwili mam oczy zmęczone wiatrem i kurzawą.

(*Wynosi papiery do bocznego pokoju*).

BINOMSKI (*do* JULJANA).

Daremnie zbierałem siły do wyspowiadania się mu ze wszystkiego.

JULJAN.

Ja także nie mogłem się na to odważyć.

BINOMSKI.

Otoż wpadłem na myśl podać mu memorjał w którym, *non explicite sed implicite* rzecz mu wystawiłem, zapobiegając tym sposobem nagłéj i gwałtownéj explozyi. Ale, ale Juljanie, Marji trzeba dać jeść, niebożątko być musi głodne, a ja nic nie mam u siebie prócz karmelków od kaszlu.

JULJAN.

Jużem myślał o tém -- Ach! nie wiesz nowéj rzeczy.

BINOMSKI (*cicho*).

Cyt, wraca.

Referendarz (*wracając na scenę*).

Przyznam ci się, mój ty pedagogiczny Feniksie, że się musiałem pod złą gwiazdą wybrać tą razą do was, czy też może dostanę żółtaczki, że w moich oczach wszyscy mi wyglądacie z długiemi twarzami, jakby wam czego brakowało; wyjąwszy jednak Gabryela, bo ten w arcydobrym humorze. *Paululum ebrius* jakby rzec twoim językiem.

Binomski.

Jam go miał za trzeźwego człeka.

Referendarz.

A Poletkę masz za wzór bezinteresowności?

Binomski (*drapiąc się za uchem*).

Hm! hm!

Referendarz.

A Krochmalskę za wielką swoję przyjaciółkę.

Binomski (*uśmiechając się*).

Do dzisiejszego dnia przynajmniéj, ale już teraz. Opowiem późniéj *unde irae* *).

Referendarz.

Wiem, wiem. Paplotała mi o tobie niestworzone rzeczy. Juljanie każ dawać do stołu.

(Juljan *odchodzi*).

Binomski.

Wystawiam sobie jakeś się pan uśmiał.

Referendarz.

Ledwie nie do rozpuku. Co też to babie w uszach tak dziwnie zadzwoniło!

---

*) Zkąd gniew.

BINOMSKI.

Pan dobrodziej chciałeś powiedzieć w oczach zamigotało.

REFERENDARZ.

W uszach powiadam — bo mi to dwa razy powtórzyła.

BINOMSKI.

Nie rozumiem.

REFERENDARZ.

Wierzę temu. Otóż wystaw sobie, powiada mi baba, że przezedrzwi usłyszała w twéj izbie głosek— cha, cha, cha, głosek młodéj kobiety! A to nie do opłacenia.

BINOMSKI (*przerażony*).

Święty Boże!

REFERENDARZ.

Jak się przeląkł, nieborak. Ale się nie bój mój Katonie. Twoja cnota tak jest głośną, że Krochmalska i wszystkie nawet Kmoszki téj parafji *junctis viribus* *) nie zdołałyby zachwiać twéj sławy.

BINOMSKI.

Pochlebiam sobie przynajmniéj, że mię nikt z téj strony słusznie nie pomówi.

REFERENDARZ.

Niezawodnie; a w takim razie obmowa dodaje cnocie zasługi; nie pamiętam tylko który to z twoich dawnych klassyków powiedział.

BINOMSKI.

Seneka Panie dobrodzieju.

---

*) Połączonemi siłami.

REFERENDARZ.

Otul się więc płaszczem twej cnoty i wypogodź czoło, bo masz dalibóg minę Seneki w wannie pod lancetem cyrulika. Pamiętasz ten obraz na wystawie?

(*Julijan wchodzi*)

BINOMSKI.

A tak, powiadam, pamiętam — piękny, powiadam.

REFERENDARZ (*zdziwiony*).

Mój Binomski, nie poznaję ciebie! Traciłżebyś pamięć, ty, cóś był dotąd chodzącą encyklopedją? — Albożeś sam nie nazwał tego malowidła mizerną kopją?

BINOMSKI (*postrzegając się*).

Jam też tylko — *ironice* — ale nie, kłamać nie umiem — *Confiteor* zatém żem był roztargniony, powiadam, za co najpokorniéj Pana dobrodzieja przepraszam.

REFERENDARZ (*ściska go*).

Poczciwa duszo! rzadki człowieku, którego ust nigdy najmniejsze nie skalało kłamstwo! Julijanie, masz w twoim nauczycielu żywy wzór prawości; idźże za jego radą i przykładem, a tém uszczęśliwisz siebie i mnie razem.

BINOMSKI.

Niech mię Pan dobrodziéj nie zawstydza nazbyt wielkiemi pochwały.

GABRYEL (*wchodzi*).

Jaśnie panie — do stołu dano.

REFERENDARZ.

Pożądana nowina dla człeka z podróży. Idźmyż — Gabryelu przynieś od pani Krochmalskiéj butelkę starego reńskiego, tylko mi ją nieś ostrożnie żebyś doniósł całą.

(*do* Binomskiego) Musisz ze mną wypić Johanisbergu. Jeżeli to winko serca ci nie rozweseli, nie będę wierzył przysłowiu: *vinum bonum laetificat cor* *)—za mną więc do ataku *Domine* Binomski.

(*Idzie ku drzwiom*).

Binomski (*do* Juljana *cicho*).

Broń Boże wino rozgrzeje mi głowę to się czasem wygadam. Miéj więc na oku i potrąć w nogę naprzypadek i w czas.

(*Wychodzą za* Referendarzem)

Gabryel (*sam*).

„Nieś butelkę ostróżnie" — zawsze ten sam, wiecznie nie dowierzający..... a kto nikomu nie wierzy, ten wart żeby go wszyscy oszukiwali. Tak się też bodaj z naszym panem dzieje (*odchodzi*).

---

*) Dobre wino rozwesela serce.

Akt III.

(Ogród. Z prawéj strony róg domu z dwóma nizkiemi oknami, z lewéj drzewa, w głębi parkan murowany z fórtką).

SCENA PIÉRWSZA.

REFERENDARZ (*wchodzi przez fórtkę*).

Binomski musi być niezdrów, bo pił z niechcenia, i wymówił się bolem głowy od spaceru. Juljan gdzieś zniknął — trzeba im przyznać ze mnie cóś niebardzo są radzi. Żałuję teraz żem wysłał Poletkę. Nie ma do kogo przemówić słowa. No, póki się Binomski wyśpi, zwiedzę mój ogródek (*oddala się w piérwszą kulisę, a w tém przez fórtkę wchodzi* POLETKO).

POLETKO (*wypatrując*).

Gabryel mówił, że go tu znajdę — a tu nie widać — poszedł może do szklarni. Zaczekam chwilkę. No, dzięki niebu za rzeką niéma już nikogo; ale był ptaszek. Dawnom się domyślał, że ta kształtna zakwefiona Imościanka, cośmy ją widywali czasem w kościele, zalatywała do nas z tamtego brzegu, Juljanek zaś ztąd tam

niekiedy zazierał, a bakałarz tymczasem kiwał się jak Rabin nad Gimorą, albo też niecnota wertował moje rachunki, i kopał podemną dołki. Patrzałem na to wszystko przez palce, bo tak mi kazał rozum. Tylkoż bieda, że Referendarz mówić sobie o tym człeku nie pozwala.— Juljanka nie wydam, bo mi jego łaska w czasie być może potrzebną. Rozum każe mieć baczność na przyszłość.

(*Wychodzi tąż kulissą co* Referendarz).

Referendarz.

(*Wychodząc z tejże strony ale z głębi*).

Pańskie oko konia tuczy: ogród mój świadczy o prawdzie przysłowia. Zaniedbanie widzieć się daje we wszystkich jego częściach: drzewa chyrlają, co piękniejsze kwiaty poginęły, nos tylko ogrodnika kwitnie i mieni się rozmaitemi farby. (*zbliża się ku ścianie domu*) I ta biedna morela, którą sam niegdyś okulizowałem, mizernie cóś mi wygląda — nie dziw, pień pruchnieje..... Ale cóż to ja widzę?— Jakież to ślady na piasku? — (*przypatrując się*) do wszystkich djabłów, nie jestże to drobna stopka niewieścia — zawodząż mię moje oczy? — (*pilnie się przygląda śladom*).

SCENA DRUGA.

Referendarz i Poletko.

Poletko (*wchodząc od lewéj strony*).

Aha, otoż jest — ale czegoż on tam po ziemi nosem wodzi?

REFERENDARZ.

Nie mylę się! noga kobiety! (*postrzegając* POLETKĘ) Co to ma znaczyć?— pytam Waści!— (*ukazuje mu ślady*).

POLETKO.

Źle, ale, wygracowano? — prawda.

REFERENDARZ.

Kto mówi o gracowaniu? — alboż nie widzisz tych tropów?

POLETKO.

Aha, ale — widzę, i męzkie i żeńskie.

REFERENDARZ.

A czyjeż to żeńskie? — Hę!

POLETKO.

Nie wiem, ale — może pani Krochmalskiej.

REFERENDARZ.

Slepyś? albo piątej ci klepki braknie. Dwie takie stopki nie wypełniłyby jednego trzewika Krochmalskiéj.

POLETKO.

A mnie się, ale, zdawało, że ona ma nogę nieszpetną wcale.

REFERENDARZ.

Idź do djabła z jéj nogami! Tu cóś jest piekielnego, a Waść o tém nie wiesz, lub udajesz może że nie wiesz.

POLETKO.

Niech przepadnę, ale, jeżeli wiem.

REFERENDARZ.

Ślad idzie aż pod same okno — Ha! wszak to okno prowadzi do sypialni Binomskiego!— Firanka spuszczona.

POLETKO.

Tak, nie inaczéj Panie dobrodzieju (*do siebie*) a Dalipan stara mówiła prawdę. (*głośno*) Trzeba się wziąść panie do śledztwa, ale...

REFERENDARZ.

Milcz Waść! ani słowa o tém nikomu. Ruszaj do swego obowiązku, i czekaj moich rozkazów. Widzę co się tu dzieje, i wypędzę was do wszystkich djabłów!

(POLETKO *skonsternowany odchodzi*).

Juljan musi mieć schadzki w ogrodzie, a te tropy dowodzą, że dziś jeszcze rozmawiał z jakąś nędznicą przez okno, korzystając bądź z nieobecności Binomskiego, bądź z jego zaprzątnień: bo żeby Binomski pomagał mu do takiéj szkarady, lub ją nawet tolerował — temu nie uwierzę aż chyba zobaczę.— Dość już i téj winy, że nie dopilnował (*po namyśle*). Ale czemu to on był tak blady, pomięszany, zamyślony, smutny?— Czemu nie okazał radości z jaką mię dawniéj witał?—Doprawdy zaczynam go posądzać. Odpędziłem Krochmalskę z jéj, jak mi się zdawało, złośliwą plotką — a gdyby to co mówiła było prawdą?—Ha! na ten czas powiedziałbym: że niéma poczciwego człeka w całym ludzkim rodzie, i że jakaś fatalność niszczy wszystkie me zamiary. Pójdźmy o tém się przekonać. (*Odchodzi*).

SCENA TRZECIA.

(Zmiana dekoracyi. Pokój Binomskiego jak w Akcie pierwszym).

BINOMSKI, JULJAN, MARJA.

(*Wchodzą na scenę ze drzwi bocznych*)

BINOMSKI.

Jak się to skończy? — jak się to skończy? — Nadomiar nieszczęścia Referendarz odłożył czytanie mojego memorjału — a tym czasem jaka niespodziana okoliczność może go oświecić. Ja najmniejszej intrygi prowadzić nie umiem; o dyplomatyce nie mogłem w sobie nigdy wyrobić należytego pojęcia, a tuby trzeba Machiawela: kto wie nawet czyby i ten z całą swoją sztuką nie rozbił się o żelazny charakter Referendarza? — Niech mi powiadam pokażą drugiego takiego *tenacem propositi*! a pałki przytem jak proch angielski.

JULJAN.

Ma cóś w sobie tak imponującego, że ilem razy chciał przed nim otworzyć me serce, język mi odmawiał posługi. Ach, Marjo w twoich ja tylko oczach czerpam odwagę. Z nas trojga ty jedna najmniej okazujesz trwogi.

MARJA.

Dodaję sobie odwagi myślą, że matka moja w niebie wstawia się do Boga za nami. Przywykłam już wreszcie do walki z przeciwnościami.

BINOMSKI.

I dodajmy, żeś jest silna twą niewinnością kochana córko, silna błogosławieństwem twojej rodzicielki. My z Juljanem powiedzieć tego o sobie nie możemy, i oto

dla czego, przeciwko naturalnemu porządkowi rzeczy, z twojéj strony jest męztwo, a z naszéj trwożliwość. A przecieśmy oba nie tchórze powiadam. Albož Juljan nie ważył ochoczo życia, przepływając w lichéj łodzi wzburzoną rzekę? a dziś nie ma za grosz serca. Ja, znowu, pojedynkowałem niegdyś za honor mojéj akademji i stałem *quod praefiscine dixerim* *) na placu przed moim adwersarzem jak Horacyusz przed Kuracyuszem; a w téj chwili czuję powiadam, cóś osobliwszego w nogach, cóś bardzo podobnego do strachu.

MARJA.

O co do nóg, ja także nie zbyt mocno trzymam się na moich. Sumienie nic mi wprawdzie nie wyrzuca, ale jeśli twój ojciec kochany mężu, w saméj rzeczy tak jest gniewliwy i nieubłagany, boję się żeby nas nie rozdzielił. Ach, już wtenczas nie wiem coby się ze mną stało.

JULJAN.

W takim razie, bądź pewną, znalazłbym w mojéj rozpaczy potrzebną odwagę.

BINOMSKI.

Niech cię Bóg zachowa od wyraźnego buntu *contra paternam potestatem!* — *Eheu*, w jakiśmy to wpadli labirynt: ani naprzód, ani wzad. Tak, wyznaję z boleścią serca, że są w życiu naszém chwile gdzie rozum i nauka nie zdołają nas wydźwignąć z przepaści, a służą tylko do zmierzenia całéj straszliwéj jéj głębi — ale wtedy to właśnie wyższe umysły okazują najwięcéj męztwa;

*) Co powiem bez chluby.

i nie będzie powiedziano, że Kajetan Binomski nie zdołał się podnieść do téj wysokości. Wyjdę może z tego domu, ale wyjdę zeń jak przystoi uczciwemu człowiekowi. Powiem więc Referendarzowi otwarcie me zdanie, choćby to miała być ostatnia z nim moja rozmowa — Chwila stanowcza się zbliża; wnet bomba pęknie — przygotujmy się do explozyi — Gdyby go Bóg natchnął myślą przeczytania bez zwłoki mego memorjału....

(*Stukanie do drzwi*).

Aj, otoż i bomba bodaj! — (*głośno*) zaraz, zaraz!

(*Daje znak* Marji, *która znika w drzwiach sypialni;* Juljan *usiada przy swoim stoliku i zabiera się do pisania.* Binomski *wyciąga klucz ze drzwi sypialni, otwiera podwoje środkowe. Wszystko to powinno się wykonać z największą szybkością i bez szelestu*).

SCENA CZWARTA.

Binomski, Referendarz, Juljan.

Referendarz.

Przerwałem może sjestę? —

Binomski.

Nie sypiam po obiedzie Panie dobrodzieju.

Referendarz.

A ból głowy?

Binomski.

Przechodzi.

Referendarz.

Muszę za pozwoleniem pana Binomskiego oderwać Juljana od pracy. Cóżby to miał tak pilnego, że wnet

po obiedzie, miasto użycia potrzebnego dla zdrowia ruchu, zasiadł do pisania? —

(Juljan *wstaje od stolika*).

Chciał ukończyć rozprawę o attrakcji, aby ją Panu dobrodziejowi złożyć jako dowód postępu w Jeografji matematycnéj.

REFERENDARZ (*z wymuszonym uśmiechem*).

Niechże zawiesi studjum o attrakcji, co go tak strasznie jak uważam zajmuje, a użyje gymnastyki. Kupiłem dla ciebie wierzchowca mój synu, sprobuj go przejedź się trochę.

JULJAN (*całuje mu rękę*).

O jakżem ci wdzięczny mój ojcze za ten dar tak mi pożądany.

(*Wychodzi rzuciwszy smutny wzrok na drzwi sypialni*).

REFERENDARZ (*serjo*).

Postępy syna mego w naukach—przynoszą mi ukontentowanie, ale wyznam, że innéj i daleko większéj doznałbym pociechy, gdyby nauczyciel jego mógł mię sumiennie upewnić o postępie w cnotach, które obowiązał się wpajać weń jak najtroskliwiéj.

BINOMSKI (*na stronie*).

Jak na to odpowiedzieć? (*głośno*) Postęp w naukach Panie dobrodzieju jawny jest i niezawodny, postęp zaś w cnotach *occultus*, a przeto dociekany tylko być może *in foro conscientiae*....

REFERENDARZ.

Przerywam, bośmy się jak uważam nie całkiem zrozumieli. Nie wymagam materjalnych dowodów, chciałbym tylko moralnego ile to być może przekonania o nie-

winności uczuć i, co za tém idzie, o czystości obyczajów Juljana.

B i n o m s k i.

Za czystość obyczajów jego głową moją odpowiadam, — za niewinność uczuć o tyle, o ile uczucia takiemi być mogą w człowieku mającym lat 20.

R e f e r e n d a r z (*na stronie*).

To cóś jakby restrykcya (*głośno*). Więc już się w nim rozbudziły namiętności burzliwe młodego wieku?— przestraszasz mię.

B i n o m s k i.

Natura, Panie dobrodzieju ma swoje prawa, których jéj wydrzeć całkiem niepodobna. Celem wychowania, zdaje mi się nie jest wyzucie młodego człowieka z przyrodzonych jego skłonności, lecz należyte onych oczyszczenie, aby się mogły pogodzić z religiją i moralnością... Mamże panu powiedzieć czystą prawdę?

R e f e r e n d a r z.

Żądam jéj — choć mię zaczynasz zdumiewać.

B i n o m s k i.

Oto, powiadam, zwątpiłem o gruntowności pańskiego systematu edukacji.

R e f e r e n d a r z.

Co słyszę?!

B i n o m s k i.

W teorji *concedo*, lecz w praktyce *nego*.

R e f e r e n d a r z (*z passją*).

Brawo! — dalej — dalejże Domine Binomski!

B i n o m s k i.

Tem śmieléj to mówię, że i siebie wespół z panem

obwiniam; siebie nawet więcéj, bo jak pedagog nie powinienem był poddać się téj ułudzie. Krótko mówiąc źleśmy zrobili trzymając młodego człeka przez czas tak długi w zamknięciu, jak gdybyśmy go sposobili na zakonnika. Jeżeli syn pański stać się ma obywatelem i żyć na wielkim świecie, należało wprowadzić go do towarzystwa, gdzieby pod okiem światłego i przykładnego ojca piérwsze stawiąc kroki, nabył przywiązania do cnót, do powinności swego stanu, a odrazy do występku. Tu zaś kształciliśmy tylko jedną stronę moralnéj jego istoty, a druga jakżeby się ukształciła w takiem odosobnieniu?

REFERENDARZ.

Zapomniałeś więc chyba, że go wiecznie trzymać tu nie myślę, że w swoim czasie ujrzy świat, i będzie żył między ludźmi?

BINOMSKI.

Założony termin jeszcze dość daleki, a gdy tymczasem wyrwie się jakim przypadkiem z pieluch, któremi go spowijamy? Łapajże go wtedy gdy ucieknie nam, wołając: *Eho! rupi jam vincula!* *)

REFERENDARZ.

Czemużeś mi dotąd głębokich tych uwag udzielić nie raczył?

BINOMSKI.

Bo, jakem już powiedział, byłem sam dotychczas zwolennikiem pańskiéj teorji. Przeczytaj pan z łaski swojéj mój memorjał.

*) Aha, zerwałem już moje więzy.

REFERENDARZ (*na stronie*).

Zaczynam się domyślać prawdy, ale cierpmy jeszcze. (*głośno*) Myślałeś więc żem sklecił mój system z wniosków *a priori;* że własne moje doświadczenie nie wpłynęło do jego budowy? Mylisz się srodze. Oparłem go owszem na smutnéj, bo na osobistéj méj praktyce. Wychowany na swobodzie, poznałem świat i ludzi od piérwszéj méj młodości, zrobiłoż to mnie szczęśliwym? — Poznałem kobiéty, ustrzegłoż mnie to od ich sideł? I w mojéj płci i w tamtéj znalazłem obłudę i zdradę; alebym może uniknął tych cierpień co mię najbardziéj znękały i dotąd jeszcze wspomnieniami dręczą, gdyby nie kobiéty. Spotkałem jedną, która mi się zdawała aniołem: pokochałem ją sercem, pozyskałem jéj wzajemność, i zdradzony od niéj zostałem! ożeniłem się potém z drugą i znalazłem w téj inny rodzaj zepsucia: suchość serca, charakter twardy, brak tych przymiotów, które jedynie osładzają nam stratę naszéj swobody. Ta nie była kokietką, ale złośnicą z tysiącem dziwactw i chimer.

BINOMSKI.

Horrendum, powiadam! Umrę w bezżeństwie.

REFERENDARZ.

Można sobie wystawić jakie było nasze pożycie. Jedną tylko pamięci jéj winienem wdzięczność, że mi urodziła syna. Tak więc po dwakroć nieszczęśliwy przekonałem się, że człek sam dla siebie nie może bezpiecznie wybierać żony, bo namiętność złym jest doradźcą; i dla tego postanowiłem strzedz serca Juljana od sideł niewieścich, dopóki sam dlań nie wybiorę dożywotniéj towarzyszki.

BINOMSKI.

Tak — jasno teraz widzę pobudki. Ale czemuś go Pan już dotąd nie ożenił? —

REFERENRARZ.

Ba! toby było takóż nie do rzeczy. Jam mniemał lepiéj zrobić, poruczając go twemu dozorowi, i dziękowałem niebu, że mi dało znaleźć człowieka z takiemi właśnie przymiotami duszy, jakich mi było potrzeba do wykonania mojego planu.

BINOMSKI *(ocierając czoło, do siebie).*

Cóż mu powiem na usprawiedliwienie méj niedbałości?

REFERENDARZ *(coraz żywiéj).*

Ale nieszczęście chciało żebym i w tym wyborze doznał zawodu....

BINOMSKI.

Panie — ten zarzut.....

REFERENDARZ.

Jest słuszny bo na materjalnym wspiera się dowodzie, na świadectwie zmysłów Domine Binomski.

BINOMSKI.

Pan — widziałeś więc? —

REFERENDARZ.

Widziałem aż nadto aby być pewnym, że w tym tu domu dzieje się zło największe, jakiegom się obawiał, że to mieszkanie Waćpana stało się przytułkiem dla rozpusty.

BINOMSKI.

O, co przeciwko temu *solemniter protestor!*

REFERENDARZ.

Co do siebie — może.

BINOMSKI.

I co do Juljana także. O rozpuście nie może być mowy.

REFERENDARZ.

A więc mnie wytłumacz fenomen, który ci ukażę. Proszę za mną.

(*Idzie ku drzwiom środkowym*).

BINOMSKI.

Zawieszam explikacją aż do przeczytania mego memorjału, o co pana upraszam.

REFERENDARZ (*wraca*).

Ale po co chodzić tak daleko — można bez téj fatygi'

(*Idzie ku drzwiom bocznym*).

BINOMSKI (*do siebie*).

Mocny Boże, co on chce robić? —

REFERENDARZ (*pokręciwszy klamkę*).

Na klucz zamknięte! Zkąd ta ostróżność? Przepraszam, ale chciéj mi otworzyć swoję sypialnią.

BINOMSKI (*osłupiały*).

Ale jakie — powiadam — Pan dobrodziéj — ma podejrzenie?

REFERENDARZ (*z passją*).

Otworzysz, lub nie?

BINOMSKI.

A — już — ciż naturalnie — kiedy taka konieczna wola — ale — powiadam (*szukając koło siebie*) klucz, klucz — Czybyś pan nie chciał wprzódy przeczytać...

REFERENDARZ.

Idź do... Nie chcesz dać klucza, znajdzie się inny — (*Wychodzi*).

BINOMSKI (*wola za nim*).

Zaklinam, rzuć okiem na mój memorjał — mój Boże, mój Boże, cóż teraz będzie? — Gotów ją zabić.

MARJA (*ze środka*).

Otwórz mi panie Binomski.

BINOMSKI (*otwiera*, MARJA *wchodzi*).

Gdzież się schronisz nieszczęśliwa przed impetem tego zapalczywego człeka? — Wyjdź oknem moje dziecię, ukryj sie w ogrodzie nim on nie przeczyta mego memorjału. Mówić z nim nie mogę — nie daje mi mówić, czy też jakaś inkluza że się męszam — alem napisał, bo, co się zowie, i do rzeczy i do serca. Na mój memorjał liczę jak na kotwicę ratunku.

MARJA.

Uciekać mi nie przystoi. Jestem małżonką Juljana, zatém córką pana domu. Słyszałam waszą rozmowę i większéj nabrałam odwagi. Zostaw mię tu samą, a poszukaj mego męża i bądźcie tu oba w blizkości, oczekując końca méj rozmowy z teściem.

BINOMSKI.

Co? — masz tyle odwagi?

MARJA.

Możesz być tego pewnym.

BINOMSKI.

Usłucham więc ciebie. Bóg cię może natchnął. Mamy przykłady w historji, że kobiety dokazywały czasami cudów. Niechże ci niebo pomaga, bo — ja — tracę

do reszty głowę i boję się powiadam, żebym po téj katastrofie nie trafił do Bonifratrów.

(Odchodząc mówi do siebie).

Nie spodziewałem się żeby kobiéta mogła mieć tyle odwagi, mogła jéj mieć więcéj odemnie powiadam.

(Wychodzi przez wielkie drzwi).

MARJA *(sama)*

Boże dodaj mi sił! Matko moja, wspieraj mnie z Nieba! — Miłość czyni mię odważną. Piérwszy popęd gniewu ma być najstraszniejszy, zasłonię odeń Juljana. Słyszę kogoś — to on zapewne — ach nogi podemną zadrżały — Wspieraj mię Boże! — *(Bierze postawę skromną ale nietrwożliwą).*

SCENA PIĄTA.

MARJA i REFERENDARZ.

(Ujrzawszy MARJĄ, stawa jak wryty).

REFERENDARZ.

Ha! co to jest?

(Szybko potém ku niéj postępując).

Coś za jedna? Co tu robisz? Jakeś śmiała?

MARJA.

Nieznajoma panu, ale mu nie obca.

REFERENDARZ.

Chcesz mi się jeszcze narzucić może za krewniaczkę? Próżny wybieg Mościa panno. Odpowiadaj raczéj kto cię tu sprowadził?

MARJA.

Mój mąż?

REFERENDARZ (*szyderczo*).

Przez okno może?

MARJA.

Tak, niestety, musiałam wejść tą niezwykłą drogą do domu, którego drzwi powinny były stać dla mnie otworem.

REFERENDARZ (*patrząc na nią uważniéj*).

Ta postać — ten głos! — Moja pani, twoja tu obecność i twoja mowa, kazałaby mi cię wziąść za jakąś bezczelną awanturnicę — ale twoja postawa, ton, a szczególnie rysy twéj twarzy, hamują sam nie wiem czemu, moje oburzenie.

MARJA (*z czułością*).

Ach, te rysy méj twarzy wzięłam po méj matce. Cały spadek, jaki obok miłości cnoty i troskliwego wychowania, mogła mi zostawić jedna z najszlachetniejszych i najnieszczęśliwszych kobiét.

REFERENDARZ (*do siebie*).

Jestem — że przy zmysłach? im więcéj na nią patrzę, im więcéj ją słucham, tém ułuda staje się większą. Rzekłbym urocze widmo. (*Głośno*).

Mogłem się wreszcie pomylić w sądzeniu o niéj, ale cóż miałem myślić znalazłszy ją w miejscu, kędy noga kobiéty postać nie powinna, i dowiadując się jakim sposobem tutaj się dostałaś? — Tym czasem uczyniłaś na mnie wrażenie, któremu się dziwię, którego nie pojmuję, lecz które nakazuje dla niéj pewny wzgląd, należny uczciwéj niewieście. Gdybyś taką jednak nie była...

Marja (*z ogniem*).

Gdybym taką nie była, nie znalazłabym w sobie odwagi stanąć w obec osoby tak poważnéj i tak wielką tu mającéj władzę. Cóż albowiem jeżeli nieprzekonanie o méj niewinności, jeżeli nie uczucie godności osobistéj mogło mię zabezpieczyć od bojaźni zostać ztąd haniebnie wygnaną?

Referendarz (*do siebie*).

Potrafiłażby awanturnica, nikczemna samopaska, wyrażać się z taką szlachetnością, z taką mocą? przebiegłość téj płci wprawdzie jest nieokreśloną — ale, w téj młodéj osobie jest cóś co rozbraja uprzedzenie, — może to podobieństwo które w niej spostrzegam, ten dzwięk głosu budzący w mém sercu lube i boleśne razem wspomnienia, działa na mnie tak silnie.

(*Głośno, łagodniéj*).

Bądź co bądź, chcę wiedzieć prawdę, musisz mi wyraźnie powiedzieć kto jesteś. Nie zaprzeczam że dowodzisz wychowania niepospolitego, ale te zalety chodzą nieraz w parze z zepsuciem moralnem — a wreszcie sama się postawiłaś w konieczności odkrycia mi swoich tajemnic. Jesteś mężatką, powiedziałaś zda mi się? —

Marja (*trwożliwie*).

Tak jest.

Referendarz.

Któż jéj mąż? i czemu go nie widzę? —

Marja (*do siebie*).

Teraz mię odstąpiła odwaga.

(*Głośno — drżącym głosem*).

Jest to nieszczęśliwy, który się ukrywa przed gniewem — swego ojca.

REFERENDARZ (*marszcząc brew*).

Sekretne małżeństwo?

MARJA (*ze spuszczoną głową*).

Niestety.

REFERENDARZ.

Takiej sprawy, moja pani, nie mogę być obrońcą. To się sprzeciwia mym zasadom. Nieposłuszeństwo rodzicom jest zbrodnią.

MARJA.

A jednak cała nasza nadzieja w panu.

REFERENDARZ.

A to jakim sposobem?

MARJA.

Bylebyś chciał być naszym obrońcą, sędzia nasz nam przebaczy.

REFERENDARZ.

Znam go więc?

MARJA.

Bardzo blizko.

REFERENDARZ.

Jego nazwisko?

MARJA.

Nie mogę je wyjawić, aż gdy mi pan raczysz przyrzec swą pomoc.

REFERENDARZ.

Ja znowu nie mogę nic przyrzec wprzód nim pani mi nie opowiesz wszystkich okoliczności.

Marja.

Ojciec mojego męża jest człek najzacniejszy i najmocniéj syna swego kocha. Ale własne jego nieszczęścia uprzedziły go tak okrutnie przeciw kobiétom, że postanowił nie inaczéj go ożenić, jak sam dla niego upatrzywszy małżonkę, bez dopuszczenia mu w tym wyborze żadnego udziału. Młody człowiek, z sercem czułém, doszedłszy pełnoletności, pędził życie smutne, oddalony od towarzystwa swojego wieku, goniąc wyobraźnią za ideałem swych marzeń. Wtém go przypadek zaprowadził do mieszkania nieszczęśliwéj wdowy, ofiary niesprawiedliwego losu, i złożonéj ciężką niemocą. Wzruszony litością, przejęty późniéj czcią na widok wielkości duszy, z jaką znosiła swoją niedolę, poświęcał jéj kryjomo wolne swoje chwile, pielęgnował i cieszył ją, jakby własną matkę.— Domyślasz się panie żem córką téj świętéj niewiasty.— Przy łożu jéj śmiertelném było pierwsze jego ze mną poznanie. Tam płacząc i modląc się społem, on mnie pokochał, ja jego, sami prawie o tém nie wiedząc. Umierająca patrzyła na to, i wielka się w jéj duszy odbywała walka; ale miłość macierzyńska przemogła nakoniec wszelki szkrupuł; bojaźń zostawienia mnie w najokropniejszem sieroctwie, nadzieja mojego szczęścia z cnotliwym człekiem, skłoniły ją do połączenia nas bez zwłoki dożywotnim związkiem. Uczyniła to, i umarła, tém spokojniéj, iż polegała na szlachetności uczuć mojego teścia.

Referendarz.

Ha widzę już teraz prawdę, jak na dłoni! — Zdra-

dzonym, znieważonym od własnego syna! A to czuła dramatyczna powiastka.

Marja (*we łzach*).

Jest najświętszą prawdą.

Referendarz.

Prawda lub fałsz, nic to rzeczy nie zmienia; nieposłuszeństwo zostaje zawsze nieposłuszeństwem, zdrada zostaje zdradą! — Ślub nieprawny! związek zbrodniczy! Rozerwę go — zapozwę niegodnego księdza — wyrzekam się niewdzięcznego syna! Złorzeczę zmarłéj intrygantce! Wynoście się oboje z mego domu, nie chcę was więcéj widzieć!

(*Chce odejść, Marja ujmuje go za rękę i upada na kolana*).

Marja.

Przebacz! na Boga! — na imię matki mojéj zaklinam!

Referendarz.

Nie słucham — puść mię!

Marja (*powstając*).

Jedno tylko jeszcze słowo — Duch Anieli błaga cię o to!

Referendarz (*wraca*).

Anieli? — Jakiéj Anieli?

Marja (*podając mu opieczętowany pakiet*).

Téj oto, która umierając mówiła do mnie: oddaj córko, to pismo Referendarzowi, a gdy je przeczyta, otworzą się oczy jego, wprawdzie już za późno dla mnie, ale wczas może dla niego.

Referendarz (*biorąc pakiet*).

Tyś więc córka Anieli Szarwickiéj?

MARJA.

Tak jest.

REFERENDARZ (*spójrzawszy na adres*).

Tak, to jéj ręka (*oddziera pieczęć*) Czegoż się dowiem?— może jakie kłamstwa?... Jednak na śmiertelném łożu, toby już było nazbyt szkaradnie.... ale..

MARJA (*zanosząc się od płaczu*).

Ach, tego za nadto!—o biedna, święta matko moja!—

REFERENDARZ (*łagodniéj*).

Uspokój się, nie chciałem rozdzierać ci serca.... ach, bo gdybyś wiedziała, jakie mię dręczą wspomnienia! jak wielka była zdrada.

MARJA (*z zapałem*).

Pewną jestem, gotowabym przysiądz, że się mylisz panie. Moja matka, była samą prawością, samą cnotą!

REFERENDARZ.

Lżyć nie będę umarłéj — wykonam nawet jéj ostatnią wolę, przeczytam te pisma. Proszę odejdź na chwilę, a niech Binomski tu przyjdzie.

(MARJA *odchodzi przez wielkie drzwi*).

SCENA SZÓSTA.

REFERENDARZ (*rzuca się na krzesło przy stoliku i wydobywszy z koperty pisma czyta je, po kolei, z mocniejszém coraz wzruszeniem, które objaśnia gestami, po chwili wchodzi* BINOMSKI *i z wielką nieśmiałością postępuje ku niemu*).

BINOMSKI (*półgłosem do siebie*).

Chwałaż Bogu, czyta — mój zapewne memorjalik... Czyta z największą uwagą; tegom się ja spodziewał, na to

liczyłem. Wolniéj nieco teraz oddycham.... Ho, jaki wzruszony! chwyta się za głowę! — Oj, tak mój dobrodzieju, moja logika bije w głowę jak taranem; to nie romantyzm, to styl klassycznego hartu.

Referendarz (*śród czytania*).

Ha, nikczemnik! —

Binomski (*strwożony do siebie*).

Aj, zły obrót rzeczy biorą.

Referendarz.

Niegodziwcze! — Ach, czemużem się wczas nie dowiedział o téj podłéj intrydze! —

Binomski (*cofając się, na stronę*).

Czy to do mnie, czy do Juljana?

Referendarz (*podnosząc rękę do góry*).

Myślisz żeś bezpieczny od méj zemsty? mylisz się łotrze!

Binomski (*do siebie*).

Ingravescit furore..,. Coraz gorszy... Mój memorjał gniew jego jątrzy jak się zdaje.... Na tego człeka żaden środek rozumny nie działa, to wierutny wulkan, niczém go nie ukoisz, aż wszystkiéj lawy nie wyrzuci z siebie, powiadam.

Referendarz (*obraca się*).

Panie Binomski!

Binomski (*odskakuje i zasłania się stołkiem*).

Adsum.... na rozkazy.... powiadam, ale..

Referendarz.

Przystąpże bliżéj przyjacielu.

Binomski.

Żądałbym wprzód powiadam pewnéj gwarancji.

Referendarz (*niecierpliwie*).

Co? — czego? — na co?

Binomski.

Oto tego — oto na to.., że te interjekcje, te epitety, te giesta pańskie, czy nie zapowiadają jakiéj wiolencji.

Referendarz.

Myślisz więc żem stracił rozum? — tak przecie nie jest, ale tylu sprzecznych uczuć toczy się we mnie walka, że mi potrzebna pomoc światłego przyjaciela. Dla tego to ciebie wezwałem.

Binomski (*bliżéj ku niemu*).

Mów panie, żądaj, rozkazuj! — jestem twój wierny sługa, *tuus totus.* Mój memorjał zapewne...

Referendarz.

Co mi twój memorjał: o rzeczy ważniejsze tu chodzi. Słuchaj.

Binomski.

Jednakowoż, mój memorjał, powiadam....

Referendarz.

A, niech go miljon ten memorjał! Wybacz i słuchaj mię proszę. Wiesz-li z kim Juljan się ożenił?

Binomski.

Bone Deus! domyślam się; z awanturnicą jakąś? o, nieszczęście!

Referendarz.

Mylisz się! z poczciwą i zacną panną; ale nie w tém rzecz oto żona jego jest córką téj, którąm kochał piérwszą, prawdziwą miłością.

Binomski.

I która cię zdradziła panie?

Referendarz.

Tak myślałem, ale mię zaślepiała zazdrość, ale gwałtowność mego charakteru nie dopuściła między nami objaśnienia. Pozory mię zwiodły; ona była niewinną: stała się ofiarą tyrańskiéj władzy ojca swego i podłéj intrygi mojego rywala. Tak, była niewinną i kochała mnie jednego aż do śmierci; a ja cobym miał jéj ufać, ją ratować, uwierzyłem potwarzy, fałszywemi przeciw niéj dowodami dałem się oszukać jak ostatni głupiec, i nie zwlekając chwili, szalony, ożeniłem się z drugą! —

Binomski.

Fatalnie, fatalnie, powiadam.

Referendarz.

Mnie wprawdzie spotkał los smutny, lecz jakże nierównie okropniejsze musiało być jéj pożycie z tym nędznikiem, który wszelkiemi sposoby ją dręczył, a gdy zmarnowawszy swój i jéj majątek nareszcie ją opuścił, została z jedyną córką w ostatniém ubóstwie, i umarła ze smutku. W tych oto pismach znajduję jasne tego wszystkiego dowody.

Binomski.

Okropnie powiadam — ale czemuż milczała do ostatniéj chwili?

Referendarz.

Pokrzywdzona odemnie obelżywem posądzeniem, nie chciała się uniżyć do wyjawienia mi prawdziwego stanu rzeczy, i wolała umrzeć jak usprawiedliwiać się przede mną. Dziwny traf sprowadził do niéj Juljana.

BINOMSKI.

Opatrzność raczéj — *Digitus Dei* *). Bo muszę powiedzieć panu rzecz dziwną: oto żeś sam rzecby można — ukazał Juljanowi Marję.

REFERENDARZ.

Jakim to sposobem?

BINOMSKI.

Przysłałeś nam doskonały teleskop; Juljan dla zabawy przyglądał się przezeń okolicom, a skierowawszy go za rzekę ujrzał dziewicę w całym blasku jéj piękności, i wnet się zapalił ku niéj miłością. Czyż to niewyraźne zrządzenie Boga? —

REFERENDARZ.

Możesz mieć racyą. Ha,, gdybym był wprzódy o wszystkiém wiedział! —

BINOMSKI.

Sambyś panie połączył tę młodą parę.

REFERENDARZ.

Nie miałbym innego sposobu naprawienia méj winy: jasno to widzę.

BINOMSKI.

A teraz?

REFERENDARZ.

Teraz, tyle tylko zrobić mogę, że pomimo wykroczenia mego syna, nie rozciągam gniewu na jego żonę. On, niech się nie spodziewa przebaczenia, lecz ona, znajdzie we mnie ojca.

---

*) Palec Boży.

BINOMSKI.

Zastanów się panie: azali ugadzając w niego nie ugodzisz i w nią razem? Dwie te dusze zlały się rzec można w jednę: widziałem tę parę gołębi i przekonałem się, że są stworzeni jedno dla drugiego.

REFERENDARZ.

Ale bunt przeciw Ojcu?

BINOMSKI.

A rodzicielskie wnętrzności? a miłosierdzie dla skruchy serdecznéj?

REFERENDARZ.

Ale moje zasady, mój system?

BINOMSKI.

Rezultatem wszakże tego wszystkiego miało być szczęście Juljana; a kiedy on, chociaż pobłądziwszy, trafił atoli do tego celu, kiedy biedny chłopiec winę swoję opłakuje, i kiedy, któż wie, czy nie my sami trochęśmy się do tego przyłożyli, trzymając młodego ptaszka za długo w klatce....

REFERENDARZ.

Daj mi chwilę do namysłu.

(*Postępuje dumając na przód sceny, widać w nim wewnętrzną walkę*).

BINOMSKI (*do siebie*).

Waha się — trzeba kuć żelazo póki ciepłe.

(*Wychodzi przez wielkie drzwi i wprędce wraca wiodąc za sobą* JULJANA *z* MARJĄ, *którzy trzymając się za ręce idą ku ojcu i w maléj odeń odległości klękają*).

BINOMSKI (*do* REFERENDARZA).

Panie spójrz tutaj. Oto i ja, piérwszy raz w życiu,

zginam kolano przed człowiekiem. Wszyscyśmy troje zgrzeszyli. Przebacz nam wszystkim, lub wszystkich odrzuć od siebie.

Referendarz (*wznosząc oczy w górę*).

Taka jest widać wola Boga — ulegam jej. Przebaczam wam! Pójdźcie tu oboje do mojego serca.

(*Niema scena*).

Binomski (*wznosi ręce do góry*).

Głos natury silniejszy nad wszystkie głosy!

Referendarz (*do* Binomskiego).

Daj mi rękę stary przyjacielu, i przebaczmy sobie wzajem.

Binomski.

Ja nie mam panu nic do przebaczenia, owszem wyznaję, żem się dał wyprowadzić w pole jak student powiadam; a to wszystko, jak mówiłem, z łaski tej lunety achromatycznej.

Referendarz.

Będziesz mógł odtąd za jéj pomocą śledzić bezpiecznie gwiazdy, gdy Juljan, prędzéj niż się spodziewałeś, znalazł swoje *centrum gravitatis*. Teraz już go zostawić trzeba własnemu jego biegowi.

Juljan.

Drogi Ojcze! i ty szanowny przyjacielu, o, całe życie będę wam posłuszny.

Binomski.

Patrzno Pan dobrodziej tego powiadam franta, ślubuje nam w czas posłuszeństwo.

(*Zcicha do* Referendarza).

Ale niema co mówić: nie wstyd mu takiéj żony, ani nam takiéj synowy. *Faemina primaria*, jakby powiedział Cycero.

(*Obraca się do parteru*).

Wyszedłem tandem z kłopotów. Kolegom zaś moim, pedagogom z własnego doświadczenia radzę, nie wdawać się w buchhalterją, ani nawet bardzo w astronomją; z dyspozytorami i ochmistrzyniami unikać bliższych stosunków, a nadewszystko okna swojéj sypialni żelazną obwarować kratą: rzadko albowiem, arcyrzadko, wejdzie, jak dziś, cóś dobrego oknem do domu, powiadam.

(*Zasłona spada*).

KONIEC.

Sejmiki Powiatowe.

KOMEDYA WE TRZECH AKTACH,

WIÉRSZEM.

OSOBY.

STAROSTA,
STAROŚCINA, jego żona.
KLARA, ich córka
PODSTOLINA.
PODSTOLIC, syn jéj.
ZBIGNIEW WALECZNICKI, Kapitan.
PUŁKOWNIK.
PODKOMORZY.
STRUKCZASZY.
ASSESOR, Niższego sądu, SZYMAK.
JÓZEF Kamerdyner Starosty.
HELENKA, pokojowa Podstoliny.
OBYWATELE.
LOKAJ, Starosty.
LOKAJ, Podstoliny.

Rzecz się dzieje, w pierwszym dziesiątku lat teraźniejszego wieku, w jednem z miast powiatowych na Litwie.

Akt I.

(Teatr wystawia Salon w domu Starostwa: w głębi drzwi wielkie środkowe, a po bokach dwoje mniejszych do pokojów Starosty i Starościny).

SCENA PIERWSZA.

JÓZEF SAM (*uprząta salon, przeciera oczy, i poziewa*).

HA, jak się oczy kleją! — skaranie to boże
Kiedy człek ani razu wyspać się nie może.
Od świtu do północy latam jak szalony,
A dom nasz gdyby karczma co dzień przepełniony.
Ten wchodzi, ów wychodzi, zgiełk, swary i krzyki —
To kiermasz, bez odpustu, te pańskie sejmiki. —
Mam przecie w głowie rozum, i niecałkiem prosty,
A zabij mnie, nie pojmę rachuby Starosty.
Gdyby się sam na urząd kierował wysoki,
Ani słowa — Urzędnik może mieć widoki,
Ten sławy, tamten zysku — jak kto o co stoi —
Lecz mój pan nie dla siebie, prosi, karmi, poi...
On się bawi jak dziecko, przerzucaniem gałek. —
Samże wybrał Marszałka — dziś już zły Marszałek;

Zerwał z nim, i nuż nowe kojarzyć przymierze,
A więc nowe łusztyki — Tpfu, niech licho bierze!
Po co wyciągać nitkę, kiedy tak już cienka....
(Stukanie do drzwi wielkich).
Kto?
(Idzie mrucząc ku drzwiom, otwiera i rozwesela się widząc wchodzącą Helenkę*).*

SCENA DRUGA.

JÓZEF I HELENKA.

HELENKA.

Dzień dobry Józefie.

JÓZEF.

A, panna Helenka!
Ranny, ranny ptaszeczek. Dziewiąta nie biła.

HELENKA.

Moja pani z biletem do was mię przysyła.
Jakiemiś sejmikami tak zajęta cała,
Że przez noc nie wiem wiele listów napisała:
Lokaj, Kucharz, Woźnica, Stróż nawet z folwarku,
Wysłani z pakietami na złamanie karku;
Nie znajdziesz w stajni konia, ani w domu człeka....
Alem się zagadała, a Imość mię czeka.
Kazała mi za kwadrans powrócić koniecznie.
Pan twój spi? —

JÓZEF.

Moja piękna żal mi cię serdecznie.
Ale przyznaj że cierpisz z twojej własnej winy;
Któż bo to widział służyć u tej Podstoliny? —

HELENKA.

Myślę też podziękować za jéj wszystkie łaski,
Bo mię znudziły wieczne fukania i wrzaski:
Osobliwie od czasu jak dziwactwo nowe
Do ostatka tę starą zawróciło głowę.

JÓZEF.

Czy nie sejmiki?

HELENKA.

Tak jest.

JÓZEF.

To mi się podoba:
A czy też na nich jakaś napadła choroba?
Bo i mój pan o niczém nie myśli, nie gada,
Jak tylko o urzędach. A cóż ztąd wypada?
Oto że się majątek coraz bardziéj trwoni
I że naczelnik partji ostatkami goni.
Dawnośmy w sklepach płacić przestali gotówką!
Pani zaklina męża, ja też moje słówko
Dorzucę czasem — próżno — starzec zaślepiony
Nie słucha dobréj rady, ni sługi ni żony.
Zapomniał że ma córkę — pannę na wydaniu —
Że Klarcia już bez żartu myśli o kochaniu.
Słyszałaś, Walecznicki, ten Oficer młody,
Chłopiec walny, niegoły a pięknéj urody...

HELENKA.

Znam go.

JÓZEF.

Hę, to nie nadto potrzebna znajomość.

HELENKA.

Mnie o tém wiedzieć.

JÓZEF (*grozi palcem*).

Ptaszku! — Lecz słuchaj: Jegomość,
Chociaż widzi wyraźnie córki swojéj szczęście,
Nie chce Walecznickiemu oddać ją w zamęście.

HELENKA.

Uporu tego jakaż być może przyczyna?
Któż mu go wbił do głowy? —

JÓZEF.

Pani Podstolina.

HELENKA.

Aha! to już zgaduję jakie ma zamiary.
Synala swego Jejmość, przeznacza dla Klary.
Ale niechaj Bóg broni tę biedną dziewczynę,
Od człeka, co zaletę posiada jedynę,
Że ogromnych kielichów duszkiem spełni kilka,
Umie ujeździć konia, albo uszczwać wilka;
Na stangreta, myśliwca, właśnie jak wykuty;
Lecz na męża dla panny, co ma gust zepsuty,
Co umie cenić rozum, i grzeczność i wdzięki,
Nie panie Podstolicu, nie warteś jéj ręki.

JÓZEF.

Co większa, nic pewnego czy się stara szczérze.
Mnie się zdaje — może się i mylę w téj mierze —
Że myśląc o urzędzie dla swojego syna,
Z partją Starosty chce się złączyć Podstolina,
Ten zaś, by tylko zwiększyć liczbę swoich wołów,
I majątek i córkę poswięcić jest gotów. —
Lecz dajmy pokój temu co dla nas jest obcem;
Gdy się piękna dziewula z raźnym zejdzie chłopcem,
O sobie raczéj mówić powinni i radzić.

HELENKA.

Wiem dobrze żeś bałamut.

JÓZEF.

Jabym cię miał zdradzić!

Ja który cię nad wszystkie subretki przenoszę!

Ja com wysechł z miłości *(chce ją uściskać)*.

HELENKA *(odpycha go)*.

Nie tak blizko proszę.

JÓZEF.

Okrutnico!

HELENKA.

Filucie.

JÓZEF.

Klnę się....

HELENKA.

Śmiech mię bierze.

Uwodź inną, ja twoim przysięgom nie wierzę.

JÓZEF.

Téj krzywdy żadną miarą nie mogę darować,

Zginę! lub muszę ciebie choć raz pocałować.

(Chce ją całować, ona umyka ku drzwiom wielkim).

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI PODSTOLINA *(w śmiesznym rannym neglizu wpada i wsuwa się między* HELENKĘ *i* JÓZEFA*, z którym się twarzą w twarz spotyka).*

PODSTOLINA *(ze złością)*.

A toż co?

HELENKA (*na stronie*).

Będzie wrzasku.

JÓZEF (*na boku*).

Pięknie ja wygrałem:
Zamiast Helenki babę tę pocałowałem.

PODSTOLINA.

Bezwstydna! poczciwego nie warta imienia
Tak mi to pięknie spełniasz moje polecenia?—
Czekam, czekam, nakoniec sama tu przybiegłam;
Lecz cóż na samym wstępie, broń Panie, spostrzegłam?
Patrz, niecnoto, za ciebie ja upiekłam raka!
Sciskasz się z tym gawronem!!

JÓZEF (*na stronie*).

Masz ci za busiaka.

HELENKA.

Pan Starosta...

PODSTOLINA.

Odpisał?

HELENKA.

Nie jeszcze.

PODSTOLINA.

A czemu?..
Lecz co widzę? tyś listu nie oddała jemu!

JÓZEF.

Mój pan śpi.

PODSTOLINA.

Więc go obudź.

JÓZEF.

Ledwie jeszcze świta.

PODSTOLINA.

Czy świta, czy nie świta, kto cię oto pyta?
Czas drogi, z tym gawronem napróżno się trudzę —
Postukam do drzwi, może Starostę obudzę.

(*Bieży do drzwi pobocznych*).

JÓZEF (*na stronie*).

To mi baba szalona! —

SCENA CZWARTA.

CIŻ SAMI, STAROSTA (*w szlafroku i szlafmycy, wychodząc ze swego alkierza, nagle spotyka się z* PODSTOLINĄ).

STAROSTA.

Chciéj pani darować,
Że się przed nią w szlafroku śmiałem prezentować.
Nigdybym przeciw winnéj czci jéj nie wykroczył.
Ale słysząc tu hałas, co tchum z łóżka skoczył,
Bo mi się — wyznam — właśnie o sejmikach śniło.
Cóż to panią tak rano dzisiaj obudziło?

PODSTOLINA.

Od godziny już z listem, przysłałam Helenkę:
Ale pan Józef umiał zabawić panienkę....
Waćpan nie wiesz, że nowe wszczęły się intrygi:
Pan Marszałek z Podsędkiem...

(*Postrzegając że* JÓZEF *mruga na* HELENKĘ).

Co znaczą te migi?—

(*Do* HELENKI)

Pódź mi zaraz do domu!.. Nie,— zostań na chwilę.

(*Do* STAROSTY).

Mówiłam o intrygach, jeśli się nie mylę? —

STAROSTA.

Tak, tak: cóż tam?

PODSTOLINA.

Marszałek, o, wcale nie głupi,
Widząc że do méj partji, większość już się kupi...

STAROSTA (*przerywa*).

Przepraszam, muszę przerwać, bom w tym punkcie tkliwy,
„*Mojéj partji*” ten wyraz mnie tylko właściwy.

PODSTOLINA (*z nieukontentowaniem*).

Więc naszéj partji — o rzecz nie o słowo chodzi.

STAROSTA.

Mam honor być dowódcą, więc mię to obchodzi.

PODSTOLINA (*z żywością*).

I ja także dowodzę: ale rzecz nie na tém,
Ja...

STAROSTA (*z przyciskiem*).

Waćpani, nie możesz mieć activitatem.
Stawać na czele partji chęć śmieszna, i próżna.

PODSTOLINA (*w passji*).

« Śmieszna!.. z panem, jak widzę, zgodzić się nie można!
« Chęć próżna... śmieszna!.. a to rzecz jest niesłychana!
Czy tak mój dobrodzieju?.. służeczka Acana!
Cofam tedy me słowo, i udam się spiesznie
Do Marszałka, zobaczym jak to będzie śmiesznie.

JÓZEF (*cicho do* HELENKI)

Brawo!

STAROSTA (*na boku*).

Do licha, stracę do dziesięciu wotów.

(*Głośno*).

Niech się pani nie gniewa. — Jam odwołać gotów.

P O D S T O L I N A (*przechadzając się*).

„*Mojéj partji*” ten wyraz, dla mnie nie właściwy?!

S T A R O S T A.

Alboż Wacpani nie wiesz żem ja trochę żywy?

P O D S T O L I N A (*zawsze się przechadzając*).

«Śmieszna!.. Próżna!» nie, tych słów nigdy nie daruję!

H E L E N K A (*cicho do* Józefa).

Jakże się rozchodziła.

S T A R O S T A (*biegając za nią*).

Lecz ja odwołuję.

Przepraszam, i pokornie wyznaję mą winę.

P O D S T O L I N A (*po małéj pauzie*).

Gniewać się na Waćpana, słuszną mam przyczynę,
Niech jednak dawna przyjaźń przemaga w téj chwili.

(*Daje rękę* Staroście, *którą on całuje*).

J Ó Z E F (*cicho do* Helenki).

Otoż masz, na nieszczęście znów się pogodzili.

P O D S T O L I N A.

Słuchajże Waćpan: owoż nasi przeciwnicy,
Złożywszy wczoraj schadzkę w żółtéj kamienicy,
Uradzili, pomnożyć liczbę swych stronników,
Z nieosiadłych szlachtusów robiąc zastawników.

S T A R O S T A.

Daj go katu! lecz figiel ten nam nie zaszkodzi,
Ja także dam zastawy kiedy oto chodzi.

J Ó Z E F (*cicho do* Helenki).

Zapomniał że sam goły jak święty turecki.

P O D S T O L I N A.

Więc i ja oddam w zastaw klucz mój Nieborzecki!
Trzeba ich walczyć bronią, którą na nas godzą.

HELENKA (*cicho do* JÓZEFA).

Tysiąc pociech jak oni nawzajem się zwodzą;
Klucz ten na skarb zabrany.

STAROSTA.

Trzeba się gotować,
Bo na sędziego grodu dziś przyjdzie wotować.
Podstolic niech się stawi w kandydatów rzędzie,
A tak dziś jeszcze, sędzią, i mym zięciem będzie.

PODSTOLINA.

Wybornie! plany moje związek ten ustali.
A Marszałek z Podsędkiem zbyt dotąd zuchwali,
Padną z całą swą partją dzisiaj do ostatka.
Wtenczas to wszystko pójdzie w powiecie jak z płatka;
Wtenczas majątki nasze zostaną bez szkody
Bo składki, i ciężary wszelkie i podwody,
Zwalim na przeciwników. Damy się im w znaki.

JÓZEF (*cicho do* HELENKI).

A doprawdy, z sejmików zysk nie ladajaki.

PODSTOLINA.

Prócz tego, z trzema jestem sąsiadami w sporze:
Jeden, graniczną miedzę, co rok zdradnie orze;
Drugi, w mojéj rzeczułce wędką łowi ryby;
Trzeci, do mego lasu, wkrada się po grzyby.
By zaradzić przez proces tym gwałtom i szkodzie,
Muszę mieć mych przyjaciół i w Ziemstwie i w Grodzie.

HELENKA (*cicho do* JÓZEFA).

Widzisz jak mądrze.

STAROSTA.

Ja zaś innéj nie mam chęci,
Jedno podać me imię do wiecznéj pamięci;

Wyplenić nadużycia, wwieść porządek nowy,
Poczciwych okryć sławą, intrygantów wstydem:
Jednym słowem, powiatu zostać Arystydem,
Pracując aż do śmierci, dla dobra współbraci.

JÓZEF (*cicho do* HELENKI).

Dobrego nic nie zrobi, a majątek straci.

STAROSTA.

Niechajże dzień dzisiejszy wszystko razem kończy,
Ślub małżeński niech dzieci wnet nasze połączy;
Po sessii dopełnimy obrządku w kaplicy.
Winszujmy sobie!...

PODSTOLINA.

Padną nasi przeciwnicy!

STAROSTA.

Niech wiecznie trwa nasz związek!

PODSTOLINA.

Niech przepadnie zdrada!

(*Składają ręce*).

SCENA PIĄTA.

CIŻ SAMI STAROŚCINA.

STAROŚCINA.

Cha, cha, cha, cóż to znaczy! czy to maszkarada?
Rodryga zdaje mi się widzę i Xymenę. —
Żałuję żem przerwała patetyczną scenę.
Ale wyznaj mój mężu, że to nie uchodzi,
W szlafroku przyjąć damę.

PODSTOLINA.

To wcale nie szkodzi.

Znamy się już oddawna.

STAROŚCINA.

Do tegośmy starzy.

PODSTOLINA (*z nieukontentowaniem*).

Starzy?!

HELENKA (*cicho do* JÓZEFA).

Jak się skrzywiła.

JÓZEF (*cicho*).

Jej się młodość marzy.

STAROSTA (*do żony*).

Moje serce, ty lubisz sobie pożartować;
Lecz dziś dzień nie do żartów: dziś mamy wotować.
Pójdę zatém wdziać mundur, i wnet się uwinę,
A ty zabaw tym czasem panią Podstolinę.

(*Odchodzi z* JÓZEFEM *do swego Alkierza*).

SCENA SZÓSTA.

STAROŚCINA, PODSTOLINA, HELENKA.

PODSTOLINA.

Dzień dzisiejszy epoką zostanie pamiętną.
Wielcem jest niespokojną.

STAROŚCINA.

Ja zaś obojętną.

PODSTOLINA.

Wiem o tém.

STAROŚCINA.

Nie ukrywam też mojego zdania:
Chcę pozostać w granicach płci méj powołania.
Ach, zostawmy mężczyznom ich odrębne prawa;
Być dobrą żoną, matką, oto nasza sława;
Rządzić domem, czeladką, czuć nad dolą kmieci,
Nadewszystko starannie wychowując dzieci,
Kształcić na zacnych ludzi te młode gałązki,
Oto są w kilku słowach nasze obowiązki:
Drobne może na pozór, lecz ważne z istoty,
Bo z cnót domowych płyną wszystkie prawie cnoty.

HELENKA (*na boku*).

Czemużem nie jéj sługą!

PODSTOLINA.

Może to rozumnie,
Lecz dogodzić swéj chęci, pierwsze prawa u mnie.
Za cóż mają mężczyzni władać jak despoty?
Im wolność, nam się same dostały kłopoty;
Z nich każdy co chce robi, na nas kładą pęta.
Waćpani się podoba ich przemoc przeklęta?
Winszuję — Lecz co do mnie innegom jest zdania,
I wcale na to nie dbam, że mi ktoś przygania.
Tak więc kiedym w małżeńskie niegdyś weszła śluby,
Starałam się przystojnie wziąść mężula w kluby.
Nieboszczyk pan Podstoli — pokój jemu wieczny —
Był szczęśliwy, choć nigdy méj woli nie sprzeczny.
Sejmiki, gospodarstwo, procedera, sądy,
I własną swą osobę w moje oddał rządy.
Wszystko też szło jak lepiéj na świecie nie trzeba.
Cóż na to?

Starościna.

Że nieboszczyk prosto wszedł do nieba.

Podstolina.

Wolne żarty. Tym czasem, rzecz jest niezawodna
Że płeć nasza być może, gdy zechce, swobodna;
Ale rzadka zwycięży natury słabości.
Idźmyż każda za naszych popędem skłonności:
Mnie ludzie będą wyższą nad mą płeć widzieli,
Waćpani, gdy chcesz, możesz pilnować kądzieli —

Starościna (*z uśmiechem*).

Wyznam że argumenta, tak żwawe i silne,
Zamykają mi usta.

Podstolina.

Że są nieomylne
Na tom przysiądz gotowa.

Starościna (*z ironją*).

Oh! nie wątpię o tém,
Przedziwne te zasady warto wykuć złotem;
Dzięki jednak, żeś z dwojga wybrać pozwoliła,
Bo mię natura trochę upartą stworzyła;
Tak więc, chociaż Waćpani systema przecudne,
Obieram raczéj życie poziome i nudne.

SCENA SIÓDMA.

Też same, i Lokaj.

Lokaj (*meldując*).

Pan Walecznicki.

Starościna.

Prosić. (*Lokaj wychodzi*).

PODSTOLINA.

Otoż będzie pięknie!
Jam w okropnym negliżu; Kapitan się zlęknie —
Ruszajmy. *(do Heleny).*
Tyś wszystkiemu winna koczkodanie.

(Leci do drzwi, i spotyka się z wchodzącym Walecznickim).

Na miłość Boską, nie patrz na mnie Kapitanie! —

SCENA ÓSMA.

STAROŚCINA, WALECZNICKI.

WALECZNICKI *(oddawszy ukłon).*

Ziąkłem, widzę tę panią — lecz nie wiem przyczyny.

STAROŚCINA *(z uśmiechem).*

Obraziłeś zbyteczną skromność Podstoliny.
W rannym była negliżu, nieprzygotowana
Spotkać się ze spojrzeniem pana Kapitana.

WALECZNICKI *(uśmiechając się).*

Jabym na nią nie spójrzał.

STAROŚCINA.

Byłoby niegrzecznie:
Ta pani chce by na nią patrzano koniecznie.

WALECZNICKI.

Jest to chęć nieszczęśliwa — zły bardzo rachunek.

STAROŚCINA *(śmiejąc się).*

Miała na głowie czepek ranny, bez korunek,
A ten jéj nie do twarzy; ale za godzinę
Będziesz pan w całym blasku widział Podstolinę.

WALECZNICKI.

Wesoły humor pani, rzeźwi mą nadzieję.

STAROŚCINA *(serjo)*.

Ach nie jestem wesołą, a jeśli się śmieję
To, by nie tracić męztwa śród mego frasunku.

WALECZNICKI.

Ach! więc już pani dla mnie nie widzisz ratunku?

STAROŚCINA.

Widzę wielkie trudności, a większych się boję;
Lecz, wierzaj, w takim razie starań mych podwoję,
Bo szczęście dziecka, wyżéj nad me własne ważę.
W tym celu woli męża oprzeć się odważę,
Byle tylko mój opór dobre sprawił skutki.
Dotąd, przed okiem jego kryłam moje smutki,
Wszystkiegom się wyrzekła, oprócz córki szczęścia;
Mąż mój też pomyślnego chce dla niéj zamęścia;
Nie szuka zaś bogactwa, ni wielkiego rodu,
Ale wierny idei wszczepionéj weń z młodu,
Rad wiecznie sejmikować, bić na większość wotów;
Téj to manji on dziecko swe poświęcić gotów!
Ha, gdybyś to pan zostać mógł Sejmikowiczem.

WALECZNICKI.

A niechaj mię Bóg broni! wolałbym być niczem.
Szanuję ja wybory, i jak szlachcic prawy
Czczę te prerogatywy, któremi ustawy
Dobroczynnych Monarchów stan nasz zaszczyciły:
Lecz wichrzyć, intrygować — jak mi honor miły —
Tegobym nie uczynił — za nic — dla nikogo.
Ach, los mię nieraz w życiu traktował zbyt srogo —
Ale nigdy, jak dzisiaj.

STAROŚCINA.

Ten sposób myślenia
Wzmaga dlań mój szacunek, lecz rzeczy nie zmienia.
Mój mąż, człek staroświecki od głowy do pięty;
Każdy przywiléj szlachty dla niego jest święty,
Lecz on strzegąc najbardziéj formę od obrazy,
Nie dość dba, by treść samą uchować od skazy:
Ztąd dobre chęci jego bywają bezpłodne. —
W tym punkcie zdania nasze całkiem są niezgodne,
Ale tylko w tym jednym.

WALECZNICKI.

I w drugim...

STAROŚCINA.

Ten drugi
Ściśle łączy się z piérwszym. Kto większe usługi
Odda obywatelstwu, walcząc z naszéj strony,
Ten mu zięciem.

WALECZNICKI.

A każdy inny?

STAROŚCINA.

Odrzucony.

WALECZNICKI.

Jeslże już ten wybrany?

STAROŚCINA.

Dotąd jeszcze niema.
Starosta cóś się zdaje wahać między trzema:
Jeden stary, ubogi, choć nie bez zaszczytów,
Drugi majętny, ale bodaj z neofitów,
Trzeci — straszy mię, lubo i z uczuć i z miny
Człek nader gminny.

WALECZNICKI.

Któż to?

STAROŚCINA.

Synal Podstoliny.

WALECZNICKI (*ze zdumieniem*).

I ten miałby być strasznym?!

STAROŚCINA.

Ach tak, na nieszczęście:
Bo najprzód, sejmikowe ma płuca i pięście,
A potém, i to gorsza, przez małe intrygi,
Matka jego, Starostę wciąga do swéj ligi.
Wizyta jéj dzisiejsza w ważnym była celu.—
Źle idą nasze rzeczy, młody przyjacielu.

WALECZNICKI (*ponuro przed siebie*).

Na to ja znajdę sposób, krótki i skuteczny.

STAROŚCINA (*domyślając się*).

Nie, nie! tego nie wolno, sposób niebezpieczny.
Ach, już przeszły te czasy, kiedy z mieczem w szranki,
Szedł rycerz walczyć z każdym o rękę kochanki;
Dzisiaj wszystkoby zepsuł cios twego pałasza;
Innéj wcale wymaga broni sprawa nasza.—
Na pomoc swych znajomych nie zbyt liczysz śmiało?
Kogoż tu znasz?

WALECZNICKI.

Marszałka i Spinka.

STAROŚCINA.

Za mało:
A co gorsza, ci oba są z przeciwnéj strony.

WALECZNICKI.

Wiesz pani żem ja tutaj wiatrem zaniesiony.

Ale dziękuję niebu za szczęsny przypadek.
Po krewnym znaczny wziąwszy w tym powiecie spadek,
Przybyłem objąć wioskę, poczém wrócić miałem —
Alem ujrzał anielską jéj córkę — zostałem..
Twa dobroć pani, trwożny głos mój ośmieliła;
Odkryłem me uczucia, Klara nie wzgardziła
Sercem co ją ubóstwia, w tym szczęścia zachwycie
Jakby w jeden punkt bytu zlało się me życie.
Co mi ta reszta ludzi. Jakieżby mię związki
Łączyć z niemi zdołały?

STAROŚCINA.

Jakie? — Obowiązki
Człowieka, Chrześcijanina i Obywatela.—
Błądzi kto się swym bliźnim chętnie nie udziela;
Kto, pełen cnych przymiotów, w pięknéj życia dobie,
Wszystko i z krzywdą wszystkich, jednéj dał osobie;
Jest to skąpiec co skarby swe, dla siebie chowa.

WALECZNICKI.

Jak to?

STAROŚCINA.

Tak jest kochanka, to duszy połowa,
W niéj kochasz siebie, cnota to wcale nie trudna....
A to, rzeczesz morały, to rzecz bardzo nudna.
Prawda, wyznaję, przebacz — starości to wina.

WALECZNICKI.

Ja przebaczyć! Ach dzięki! Mówisz jak do syna.

(*Z nieśmiałością, głosem stłumionym*).

Ujrzęż dziś Klarę?

STAROŚCINA.

Poźniéj. Chciéj przyjść na herbatę.

Walecznicki (*wzdycha*).

Na długą mnie skazujesz pani czasu stratę?
Ach pozwól...

Starościna (*poważnie*).

Nie pozwolę schadzek pokryjomych.
(*Lżejszym tonem*).
Możesz tym czasem w mieście nawiedzić znajomych.

Walecznicki (*z żywością*).

Żegnam....
(*Postrzegając iż obraził* Starościnę, *mówi z czułością*).
Przebacz! winienem!. Czy przebaczasz pani?—

Starościna.

Rada przebaczam temu kto sam błąd swój gani.

(*Podaje mu rękę, którą on całuje z uczuciem i odchodzi, a tym czasem przez drzwi boczne wszedł* Starosta).

SCENA DZIEWIĄTA.

Starościna i Starosta (*w mundurze obywatelskim*).

Starosta (*żartobliwie*).

Kwita! kwita! serduszko. A pomnisz twój śmieszek
Gdyś mię tu z Podstolinką zdybała? — W ten grzeszek
Wpadłaś sama, i gorzéj, bo z chłopcem nielada,—
Ale zazdrość, wiesz dobrze, to nie moja wada:
Nigdy wprawdzie nie dałaś mi do niéj powodu.
Ty to, złośniczko, byłaś zazdrośną za młodu;
Ha, bo też człek był niegdyś niby troszkę gachem—
Lecz dobrze że to dla cię kończyło się strachem.

Dziś już jestem — niestety — z łaski lat — stateczny.—
Ale cóż tu porabiał, Kapitan waleczny?
Miał minę suplikanta. W jakimże zamiarze?

STAROŚCINA.

Wiesz. Kocha Klarę, wzajem podoba się Klarze.

STAROSTA (*zachmurzając się*).

Ach prawda! zapomniałem. Z tego nic nie będzie.

STAROŚCINA.

Drogi mężu!

STAROSTA.

Ważniejsze mam rzeczy na względzie
Niż kaprys panny Klarci: dobro powietników,
I sławę którą mniemam z tych odnieść sejmików.
Miałem ci właśnie donieść ważne rezultata
Narady z Podstoliną. Zgadnij kto się swata
Do naszéj córki?

STAROŚCINA.

Tylko nie Podstolic?

STAROSTA.

Czemu?
Otoż on sam! i wiedzże, żem już przyrzekł jemu.
Dziś wieczorem ślub. Klara dziś będzie sędziną.
Pojmujesz?

STAROŚCINA (*z przerażeniem*).

Niepodobna!

STAROSTA.

Jest trochę mą winą
Żem cię wcześniéj nie ostrzegł. Mam tyle kłopotów;
Jeszczem nie obrachował, *pro et contra*, wołów,

A tu za kilka godzin walka się rozpocznie.
Lecz cóż to szkodzi. Ślub im dać trzeba niezwłócznie,
Bo tak wypadło z planu. Wyprawa zaś potém,
Posag po naszéj śmierci — Podstolic wie o tém...

S t a r o ś c i n a (*z przycìskiem*).

Ale czy wie Podstolic że Klara nie wolna?

S t a r o s t a (*zażywając tabakę*).

On wie, że córka, woli rodziców powolna,
Da mu rękę — i więcéj wiedzieć mu nie trzeba.

S t a r o ś c i n a.

Rodziców, mówisz?

S t a r o s t a.

Mówię, bom ja, z łaski nieba,
Głową domu — więc szala na moję się stronę
Przechyli.

S t a r o ś c i n a (*z żywością*).

Mniemasz?

S t a r o s t a (*głaszcząc ją pod brodę*).

Mniemam, bo dobrą mam żonę,
Bo dotąd wola moja świętą dla niéj była.

S t a r o ś c i n a (*rzewnie*).

Ach, jeślim była taką, czyżem zasłużyła
Na tak bolesne ciosy?

S t a r o s t a.

Jakież to są ciosy? —
Klarę w zamęściu szczęsne oczekują losy,
Z człekiem zacnego rodu, i wnet na urzędzie.

S t a r o ś c i n a.

Wierzaj ona z tym człekiem nieszczęśliwą będzie.

STAROSTA.

Ja to biorę na siebie.

STAROŚCINA.

Łzy twojego dziecka?!

STAROSTA.

To cóś nie po naszemu! mówisz jak z niemiecka.
Frazesik z *Kocebuba* płaczliwych dramatów:
Cytujmy raczéj zdania naszych Antenatów.
Wskaż mi choć jeden *casus* z dawniejszego czasu
Przeciwny mym zasadom, a wnet, bez hałasu,
Pozwolę Klarze zostać panną nowomodną,
Namiętną, nieposłuszną i córką wyrodną!
Lecz próżnobyś szukała, nie znajdziesz — a zatém
Nie durz mi, duszko głowy, niemieckim dramatem.

STAROŚCINA.

Klara będzie posłuszną — ale nieszczęśliwą.

STAROSTA.

Eh, Bóg jéj nie opuści, gdy będzie poczciwą.

STAROŚCINA.

Jéj cierpienia nagrodzi — lecz nas może skarze.

STAROSTA.

Nie skarze! bo w poczciwym zmuszam ją zamiarze.

STAROŚCINA.

Cóż ztąd że zamiar dobry, gdy środki nieprawe?

STAROSTA.

Z Waćpanią trudno wygrać i najlepszą sprawę.
Nadto czytasz serduszko, z tych ksiąg całe licho.
Dawniéj gdy mąż rzekł: tak chcę,— w domu było cicho;
A teraz i najlepsza z żon, stawi na swojém.
Zgodzę się w innych rzeczach rad ze zdaniem twojém,

W téj nie mogę, bo honor stoi na przeszkodzie.
Tak bywało od wieków w całym moim rodzie.

STAROŚCINA (*ściskając go*).

Drogi Stasiu, czyż prośba moja cię nie wzruszy?

STAROSTA (*łagodnie wyrywając się z jéj objęcia*).

Ach milcz — głos twój tak słodki — lecz zatykam uszy
I uciekam — Ty Klarę naprowadź na drogę.

(*Odchodzi przez drzwi środkowe*).

SCENA DZIESIĄTA.

STAROŚCINA, (*sama*).

Nie-że już dla téj biédnéj uczynić nie mogę?

(*Dzwoni, wchodzi* LOKAJ).

Byłeś na poczcie?

LOKAJ.

Byłem.

STAROŚCINA.

Listów niéma?

LOKAJ.

Niéma.

(STAROŚCINA *daje mu znak ręką*, LOKAJ *wychodzi*).

Cóż jéj powiém? O, jak mię dręczy boleść niema
Nieszczęśliwego dziecka! zmuszać do małżeństwa,
A toż już jest najwyższy stopień okrucieństwa! —
Nie, nie, to być nie może! — Głupiec, szarapetka
Miałby być moim zięciem? a stara kokietka,
Swarliwa kmoszka, świekrą Klary? — Za nic w świecie! —
Bóg daje siły matce broniącej swe dziecię....

(*Po namyśle*).

On by jeden zaradzić mógł téj mojéj biedzie,
Czemuż więc nie odpisał?— Może sam przyjedzie.
(*Po krótkiém dumaniu*),
Rzekłabym: przeznaczenie.... Gdy sobie przywiodę,
Na pamięć dawne lata, moje lata młode,
Widzę w nich podobieństwo do losu méj Klary.
Sprzeczne z mém sercem były rodziców zamiary:
Dwóch mi swatano. Chciałam wybrać Porucznika;
Mój ojciec, sam cywilny, wolał urzędnika.
Rozkochany wojownik, poszedł w boje krwawe,
Zaprzysiągłszy mi stałość, zyskać sobie sławę.
Był też stałym, lecz cóż mu ta cnota nadała?
Nim wrócił, jam Starostę poślubić musiała.
Rozpaczał z razu, poźniéj żal swój uspokoił;
Również i w mojém sercu czas ranę zagoił;
Znalazłam męża lepszym nad me spodziewanie,
A niezmienny przyjaciel został mi w Zorjanie.
Los Klary byłby gorszym. Cóż to za różnica —
Jak równać ze Starostą tego Podstolica!—
Nie, nie, mój panie mężu, choćbym wyszła z granic
Winnéj ci uległości — nie dam dziecka— za nic!—
(*Odchodzi do swego pokoju zasłona upada*).

Akt II.

(Tenże salon co i w piérwszym).

SCENA PIÉRWSZA.

STAROSTA, PODSTOLINA (*wykwintnie ale bez gustu wystrojona*).

PODKOMORZY, STRUKCZASZY I OBYWATELE.

(STAROSTA, PODSTOLINA, PODKOMORZY I STRUKCZASZY, *siedzą na przodzie teatru; inni goście stoją, siedzą lub przechadzają się na drugim planie, bawiąc się po cichu rozmową między sobą i czasami tylko zbliżają się ku nim. Kilku z nich grają w* Sztosa *przy jednym ze stolików bokowych w saméj głębi. W ubiorach widać kuntusze i kubraki, ale strój francuzki przemaga*).

STAROSTA.

Otoż, jakem powiedział, prześwietni panowie,
Musimy podnieść rokosz przeciw naszéj głowie,
Przeciwko Marszałkowi. Lecz w tém, jego wina,
W jego to dumie naszych zażaleń przyczyna.
Kiedyśmy go wybrali, jednomyślnie prawie,
Było to z naszéj strony aż nazbyt łaskawie;
Bo, już ciż, prawdę mówiąc, jakież miał zasługi?—
Na urzędach mniéj ważnych spędził czas niedługi;

Popularność niewielka, choć włości obszerne;
Pracowitość — jak czasem; talenta pomierne;
Uczciwość — o téj nikt z nas nie wątpi, ni pyta,
Bo ta jest szlachcicowi z rodu pospolita —
Czegoż się więc tak puszyć, tak wspinać nad innych;
Liczyć prerogatywy do przesądów gminnych.
Cytować nam Potockich, Czackich, Kołłątajów,
Jakby z pogardą dawnych szlacheckich zwyczajów?—
Tak, tak, nasz Pan Marszałek okrutnie cóś spaniał.
Mówi: „Kto wart urzędu pocóżby się kłaniał?"
Dalejże my go prosić, witać z chlebem, z solą,
On zaś *pro forma* rzekłszy jak ów Opat: *nolo!*
Przyjmuje naostatek; dopiéroż dziękować
I składkowym obiadem *libenter* częstować.
Każą nam w końcu bramy wznosić tryumfalne.

(Podkomorzy, Struczaszy i *niektórzy* z Obywateli *śmieją się*).

Otóż to mi maxymy piękne i moralne,
Jakby prośba do braci krzywdziła szlachcica.
Lecz taka uniżoność, owszem go zaszczyca.
Hodie mihi, *cras tibi*, bośmy wszyscy równi.—
Gdzie tak myślą, niezgoda nie wstrząsa swych głowni,
Wybory idą ładem, a choć się poswarzą,
Na głos przyjaciół strony znowu się kojarzą.
Kiedy więc tych pożytków prawo nam nie wzbrania,
Kto zechce być wybranym to niech się i kłania.
Czy zgoda na ten wniosek?

PODSTOLINA.

Zgoda!

STRUKCZASZY.

Zgoda!

WSZYSCY OBYWATELE.

Zgoda!

PODKOMORZY.

Dawniej się na sejmikach kłaniał Wojewoda.

STAROSTA.

Gdy ten wniosek przyjęty, obwarujmy zatém.
Nie obierać odtąd *per unanimitatem*.
Oj, ta pozorna jedność wielkie robi licho;
Kilku woła prosimy! kilkudziesiąt— cicho,
Gryzą język, bo grzeczność usta im zamyka.
Zgodzą się *nolens*, *volens* wybrać przeciwnika.

PODSTOLINA (*cicho do* STAROSTY).

Pocóż tu męszać słowa łacińskie czy greckie?
Waćpana mowa dla mnie kazanie niemieckie.
Ja przecię chcę rozumieć.

STAROSTA (*rusza ramionami i mówi daléj*)

To systema szkodne
Wylęgło z łona pychy i w złe skutki płodne.
Nasz Marszałek je lubi. Za każdym sejmikiem
Chciałby bez wotów, jednym rzecz kończyć okrzykiem.
Jest to przeciwna prawu i zła bardzo moda.
Głośmy, że na nią....

PODSTOLINA (*wpadając w mowę*).

Zgoda!

STAROSTA (*z gniewem*).

Nie....

OBYWATELE (*w głębi teatru*).

Zgoda!

STAROSTA, PODKOMORZY, STRUKCZASZY (*razem*).

Niezgoda!

STAROSTA (*do* PODSTOLINY).

Że też Waćpani zawsze zrobisz zamięszanie.

PODSTOLINA.

Czysta napaść.

PODKOMORZY.

Waćpana dobrodzieja zdanie

Przyjęte jest od wszystkich.

STRUKCZASZY.

Wątpliwości niéma.

STAROSTA (*kłania się i mówi daléj*).

Chwała wam, jeśli takie zwalicie systema.
Zmięszają się stronników Marszałkowskich szyki;
Wniosek nasz ich obruszy, podniosą okrzyki,
Lecz my téj burzy opór dostateczny damy.

(*Szmer w głębi przerywa* STAROŚCIE *mowę*).

JEDEN GŁOS (*z głębi*).

Nic nie damy!

(*Niektórzy śmieją się*).

STRUKCZASZY (*głosem Stentora*).

Panowie! słuchajcie!

WIELE GŁOSÓW.

Słuchamy!

PODSTOLINA (*cicho do* STAROSTY).

Pięknie słuchają — gwarząc jakby na teatrze.

STAROSTA (*cicho*).

Byle zgoda, na resztę ja przez palce patrzę.
(*głośno*).
Otoż, na fundamencie zdań nowego kroju,
Marszałek mniema że się mu uda, w pokoju,
Wynieść pana Podsędka na Sędziego Grodu.
„Człek (*mówi*) dobry.” — Na to nie żądam dowodu,

Wszyscy go znamy takim; ale tego mało,
Na poczciwych nam nigdy, wiecie, nie zbywało.
,,Zna prawo." I to prawda; lecz téj znajomości
Nie wadziłoby, więcéj mieć popularności,
A Pan Podsędek siedzi jakby Mnich za kratą.
Nie zły ma jednak fundusz, wziął żonę bogatą,
Tym czasem któż z nas wypił z nim kieliszek wina?—

PODKOMORZY.

Wielka wina!

STRUKCZASZY.

O bardzo wielka!

JEDEN GŁOS.

Wina?

WIELE GŁOSÓW.

Wina!

PODSTOLINA (*cicho do* STAROSTY).

Oni się przymawiają.

STAROSTA (*cicho*).

Przyjdzie to z kolei.

(*głośno*).

Mówiłem, że Marszałek pełen jest nadziei
Utwierdzić swe systema wyborem Podsędka:
Bo wierzajcie, ten wybór — o, to na nas wędka.
Czemuż chce dać nam jego?— bo niepopularny.
Dowiedźmyż Jegomości, że ten plan był marny;
Że jeszcze w nas szlachetna duma nie osłabła;
Że nasz Kandydat idzie i śmiało....

JEDEN Z GRACZY KARTOWYCH (*w głębi*).

Do djabła!

STAROSTA (*wskakuje oburzony*).

Kto to mówi?

STRUKCZASZY (*wskakuje*).

Któż tam, ten Judasz Iskarjota?

PODSTOLINA (*wącha z flaszeczki*).

Słabo, mnie.

PODKOMORZY (*wstając*).

Dobyć szabli bierze mię ochota.

JEDEN Z GOŚCI (*do* STAROSTY).

Niech się Pan uspokoi, to *quid pro quo* znaczy
Że w sztosa dużą stawkę przegrał jeden z graczy.
On nie słyszał słów pańskich.

STAROSTA (*siada odetchnąwszy*).

Czy tak?

DRUGI GOŚĆ.

Niezawodnie.

PODKOMORZY (*siada*).

Bo teżby, po tebinkach, wziął za taką zbrodnię.

PODSTOLINA (*do* STRUKCZASZEGO).

Wyraz ten w méj pamięci niełatwo się zatrze.
(*Do* STAROSTY *z cicha*).
Szulerja tu...

STAROSTA (*cicho z niecierpliwością*)

Mówiłem że przez palce patrzę.
(*głośno*).
Wróćmy przeto do rzeczy. Nasz kandydat śmiało
Idzie, a czemu?— bo się wam, przezacni zdało
Przyjąć jego suplikę i chęci szlachetne.
Tak postępować zwykły zgromadzenia świetne.

Zwyczaj patryarchalny — słodką łzę uronić
Na taki miły obraz poniewolnie muszę.
(*Ociera oczy*).

PODKOMORZY.

To mówca złotych wieków!

STRUKCZASZY (*ociera nos*).

Wskroś przeszywa duszę!

STAROSTA.

Prosi więc Pan Podstolic o łaskawe wota....
(*Ogląda się z niespokojnością*).
Służyć wam, serce jego napełnia ochota....
Prosi i Matka (*daje znak* PODSTOLINEJ *i dzwoni*).

PODSTOLINA (*wstaje i dyga*).

Proszę za mym jedynakiem.

STAROSTA.

Ja spół-obywateli za młodzieńcem takim,
A łaskawych przyjaciół, przyjaciel zaklina,
Na pamięć, niezachwianych związków.....
(JÓZEF *wszedł tym czasem i zbliżywszy się z tyłu do* STAROSTY *skłonił ku niemu ucha*).

STAROSTA (*do* JÓZEFA *cicho*).

Przynieś wina.
(JÓZEF *odchodzi a* STAROSTA *obraca się do* PODSTOLINY).
Czemuż Podstolic w tym się nie znajduje gronie?

PODKOMORZY.

Widziałem go za miastem: ujeżdża swe konie.

STAROSTA (*do* PODSTOLINY).

Mógłby to był odłożyć.

PODSTOLINA.

Młodemu wybaczą.

STAROSTA.

Niech panowie zastępstwo moje przyjąć raczą.
Jak go posadzą za stół, a fałdów przysiedzi,
Będzie innym.— Z Podstolim byliśmy sąsiedzi,
Świeć mu Panie, był człowiek — choć przyłoż do rany.

(PODSTOLINA *wzdycha z affektacją*).

JEDEN Z OBYWATELI (*z cicha do drugiego*).

Ale za to żonula i synal kochany!

STAROSTA.

Cnoty jego w potomku uwieńczcie nagrodą.
Przykłady ojców, dobrą dzieci drogą wiodą:
Przez ciąg wieków dom taka zaszczyca pamiątka.—
Podstolica, widziałem że zajmuje...

JEDEN Z GRACZY (*w głębi*).

Piątka!

(*Śmiech około* STAROSTY).

STAROSTA (*zmięszany nieco*).

Zajmuje—chciałem mówić, żądza tylko jedna—
Służyć braciom, nadzieja — że ich łaski zjedna.
Otoż mię to ośmiela raz jeszcze was błagać....

PODSTOLINA (*cicho*).

A ja, czy mam w tych prośbach Waćpanu pomagać?

STAROSTA (*cicho*).

Zostaw to mnie Waćpani.

(*głośno*).

Szanowni mężowie!

Los młodzieńca na waszém jednem zawisł słowie.—
Niech, ma atoli wpływu tu niema powaga—
Wasza wola jest prawem—niech ona przemaga.

PODKOMORZY.

Pan tego żądasz? — Zgoda.

STRUKCZASZY (*krzyczy*).

Prosimy!

WSZYSCY OBYWATELE.

Prosimy!

JEDEN OBYWATEL (*w głębi do innych*).

O czem tam była mowa?

DRUGI (*w głębi*).

Dalibóg, nie wiemy.

(*JÓZEF wchodzi z butelkami i kieliszkami i przy pomocy Lokaja oraz Pacholika nalewa wino i rozdaje gościom*).

STAROSTA (*podnosząc kielich w górę*).

Wiwat prześwietne grono! (*pije*).

WSZYSCY (*podnosząc kieliszki*).

Dowódzca niech żyje!

(*Piją a służba napełnia wypróżniane kieliszki*).

PODSTOLINA.

(*Na stronie odstawując z gniewem swój kieliszek*).

A mego zdrowia żaden z tych gburów nie pije.

(*Długa pauza, śród której STAROSTA krążąc po salonie kłania się, ściska, i żadnego z gości nie pomija bez okazania mniéj lub więcéj przymileń*).

PODKOMORZY (*po kilku kieliszkach do STAROSTY*).

Czas już będzje pożegnać mego dobrodzieja.
Zejdziemy się na sali. (*ściska go*).
Mnie cieszy nadzieja
Wygranéj.

STAROSTA.

My, w ich łasce naszą pokładamy.
A, więc do zobaczyska!

STRUKCZASZY.

Do nóg upadamy.

(*Wszyscy kłaniają się i wychodzą*. STAROSTA *odprowadza ich aż za drzwi*).

SCENA DRUGA.

STAROSTA. PODSTOLINA, JÓZEF.

STAROSTA (*oddychając*).

Doszliśmy dzięki Bogu, szczęśliwie do celu,
W téj partji było nawet konkurentów wielu,
I gdybym zręcznie rzeczy nie umiał nastroić,
Podbić serca wymową i zazdrość rozbroić —
Kto wie?...

PODSTOLINA.

Moja też pomoc nie była daremną,
Bo oni, wszyscy prawie, są w przyjaźni ze mną.

STAROSTA (*wątpliwie*).

Być i to może — Jednak — Lecz już rzecz skończona:
Pódźmy zobaczyć co też robi moja żona.
Mam bo wiele kłopotu względem naszéj Klary:
Kapitan Walecznicki psuje me zamiary;
Chłopiec raźny. Broń panie, głowę jéj zawróci,
To będzie bieda.

PODSTOLINA.

Niech to Waćpana nie smuci.
Kapitan ani myśli kochać téj dziewczyny;
Są to czyste chymery Pani Starościny,
Ręczam.

STAROSTA.

Może to być — jednak niebezpieczny.
Idźmy *(podaje jéj rękę)*.

PODSTOLINA.

Dla mnie Kapitan, bardzo, bardzo.... grzeczny,

STAROSTA *(uśmiechając się)*.

Trzeba nam *pro et contra* obrachować wota.

(Odchodzą do pokoju STAROŚCINY*)*.

JÓZEF *(do służby)*.

Wynieście te szkło próżne.

(Służący zabierają i wychodzą, on ustawia meble).

Skończona robota....
A kto wie czy skończona? — Tutaj, przy kielichu,
Wybrali tego smyka — lecz tam, gdy po cichu
Gałeczki rzucać będą, a nikt już nie zoczy
Jak się z nich która w prawą czy w lewą potoczy,
Oj tam, źle nam zapłacić mogą za węgrzyna.

(Postrzega kieliszek pełny na stoliku).

Patrz-no, ten kieliszek, rzekłbyś, Podstolina
Zostawiła tu dla mnie... Czy nie za busiaka?—

(Pije).

Niezłe — choć nie tak mocne, i myszka nie taka,
Bośmy przylać musieli maślaczku.— Tak bywa,
Gdy z łaski marnotrawstwa fundusz dogorywa.

(Odchodzi z próżnym kieliszkiem).

SCENA TRZECIA.

KLARA *(wychodzi z pokoju matki z robotką)*

Wysłali mnie, by radzić o méj przyszłéj doli.
Radzić o mnie bezemnie, oh, to sercu boli!

Będzie mnie wprawdzie bronić dobra moja matka,
Ale, gdy nie obroni — gdy już do ostatka
Przyjdą rzeczy — gdy będę w niewolę przedana —
Czy wtedy mam, w brew woli mego ojca — pana,
Oświadczyć, że kto inny posiadł serce moje?—
Byłabym nieposłuszną — a tego się boję
Więcej niż innych nieszczęść... Tego by mi radzić
Matka moja nie śmiała.... Ale mamże zdradzić
Ufność tego człowieka, co mi chce dać rękę?—
Boże! widzisz me serce, widzisz w niem tę mękę,
Natchnij mię co mam czynić. Błagam, wskaż mi drogę
Którą z nieszczęścia tego bez szwanku wyjść mogę.....
Ty Zbigniewie, niestety, nie masz tutaj głosu:
Bo twoją być nie mogąc, nie chcę mego losu
Widzieć cię uczęstnikiem. Oby me zgryzoty
Były ci niewiadome! — Z twojemi przymioty
Znajdziesz inną...

(*Kładzie rękę na sercu*).

Ha boli! — po co myślę o nim?—
Nieraz my ludzie, błędnie tu za szczęściem gonim —
Jam moje z nim marzyła — zwiodłabym się może.....
Przebacz Zbigniewie! — Ach nie, oto się nie trwożę —

SCENA CZWARTA.

KLARA I WALECZNICKI.

KLARA (*na stronie*).

Nieba, to on!

WALECZNICKI.

Ach Pani, ciebież tu znajduję?—
Szczęście to niespodziane.— W téj chwili nie czuję
Ciężkiéj méj niepewności, ni dręczącej trwogi,
Wiem że to będzie moment, lecz jakże on błogi!...

KLARA (*chce odejść*).

Nie mogę tutaj zostać. Matki mojéj wola.....

WALECZNICKI (*błagając*).

Chwilkę!— Większéj litości godna ma niedola.

KLARA.

Ujrzymy się dziś jeszcze — teraz — odejść muszę.

WALECZNICKI.

Tak; otoczeni zgrają. Czyż wtedy mą duszę
Będę ci mógł otworzyć?— Czytać w sercu twojém?—
Sejmikowych tych figur oblężona rojem,
Unikać będziesz nawet mojego spojrzenia;
Tak być z sobą, to nowy rodzaj udręczenia.

KLARA.

Ach, któż wie czy nam późniéj i tego pozwolą.

WALECZNICKI.

Co pani mówisz?

KLARA (*z westchnieniem*).

Z Boską zgadzajmy się wolą.

WALECZNICKI (*z goryczą*).

Ta rezygnacja?...

KLARA.

Nie jest nieczułości skutkiem.

WALECZNICKI.

A jednak, wyznać muszę, napełnia mię smutkiem.
Żądałbym więcéj męztwa a mniéj uległości.

K l a r a.

Nie mężnyż ten kto spełnia ciężkie powinności?—
Byłeś synem, żołnierzem — pojmiesz słów tych wagę.

W a l e c z n i c k i.

W téj chwili czuję tylko że miałbym odwagę
Położyć życie moje dla ciebie ofiarą.

K l a r a (*ze smutkiem*).

Ofiary takiéj nie chcę. Wznieśmy raczéj z wiarą
Modły do Boga. On nas gdy zechce wydźwignie.—
Wnet-że się ostatecznie już los mój rozstrzygnie;
Rodzice moi, teraz właśnie, o tém radzą.

W a l e c z n i c k i.

Więc i w najgorszym razie, ugniesz się pod władzą?

K l a r a (*boleśnie*).

Uczynię com powinna.— Nie zadawaj męki.
(*Łagodnie*).
Odejdź panie Zbigniewie.

W a l e c z n i c k i (*ujmuje jej rękę*).

Słowo: twojéj ręki
Nie otrzyma nikt inny, chyba po mym zgonie!
Przysięgam!— Teraz żegnaj!
(*Przyciska jéj rękę silnie do serca swego i szybko odchodzi*).

SCENA PIĄTA.

K l a r a (*sama*).

(*Kładąc rękę na sercu*).

Boże!— W mojém łonie
Jakież silne wzruszenie!— Dni jego strzeż Panie!...
Byłoż to już ostatnie nasze pożegnanie?..

Ach czemużem go sama wygnała ztąd prawie?
Tak zimno, tak się srogo obeszłam, w obawie
Nieposłuszeństwa matce. On może tłómaczy
Bojaźń tę brakiem czucia.— On wyszedł w rozpaczy!.
Ach tak silnie mą rękę do serca przycisnął —
Głos w nim zadrżał, a w oku taki ogień błysnął..
Czuję żem postąpiła nieludzko.— Ach Klaro,
On za ciebie swe życie kłaść gotów ofiarą,
A tyś dla niego chwili poświęcić nie chciała.
Daruj Zbigniewie— za to będę cię kochała
Mocniéj jeszcze, jeżeli mocniéj tylko można..
Uzbroję się odwagą — oh, nie będę trwożna.
Zbigniewie! nikt nie weźmie ręki twéj kochanki!.....

(*Słucha*).

Ktoś idzie?— (*Postrzega wchodzącego* Podstolica).
Ach!

SCENA SZÓSTA.

Klara i Podstolic.

Podstolic.

Służeczka panny Starościanki.—
Jakże zdrowie?— Z kolorów jeśli sądzić twarzy
Wyborne. I mnie także zdrowiem Pan Bóg darzy.
Uwierzysz Pani? Nigdy nie cierpię na głowę.
Kaszlam czasami, fraszki, bo piersi mam zdrowe,
Sen doskonały, przytém apetyt nielada —
Ale pani coś smutna — nic nie odpowiada —
Cóż? czy też ani słówka pani mi nie powie?—

KLARA (*sucho*).

Winszuję Panu że masz tak wyborne zdrowie.
(*Usiada przy stoliku i bierze swoję robotkę*).

PODSTOLIC.

A wiesz Pani dla czego ja me zdrowie pieszczę?—
Bo mam pewne przeczucie — jak to mówią — wieszcze,
Że doczekam starości — obok ślicznej żony,
Rojem synków, córeczek, wnucząt, otoczony.
A kto będzie tą śliczną?—

KLARA (*obojętnie*).

Wcalem nie ciekawa.

PODSTOLIC.

Ale bądź Starościanko, na ten raz łaskawa:
Bo ja się z odgadnienia ważnej rzeczy dowiem.

KLARA (*poważnie*).

Wytłómacz się pan jasno, wtedy mu odpowiem.

PODSTOLIC (*do siebie*).

Śmiało idzie do celu. Będzie chciała może
Wodzić rej w domu. Tego uchowaj mnie Boże.—
Lecz trzeba ją wybadać jakie też ma gusta.

KLARA (*do siebie*).

Ton moich odpowiedzi ściął mu widzę usta.
Ach gdyby się dał zrazić.

PODSTOLIC.

Obecne sejmiki
Podobają się Pani?

KLARA (*z lekką ironją której on nie dostrzega*).

Bardzo.

PODSTOLIC (*trochę zdziwiony*).

Swary, krzyki?—

KLARA.

Tętnią przyjemnie w uszach.

PODSTOLIC (*na stronie*).

Tam do stu mazurów!

Czy niéma ten aniołek czasami pazurów?—

(*Głośno*).

Być żoną urzędnika czybyś Pani chciała?—

KLARA.

Może. Jeślibym zwłaszcza urząd piastowała
Wespół z mężem.

PODSTOLIC (*na stronie drapiąc się w głowę*).

Otoż masz!— Jak raz, moja mama.

Aj, aj! (*Głośno*)

Pani byś akta czytywała sama?

KLARA.

Nie sama, ale razem z mężem.

PODSTOLIC (*na stronie*).

Co raz lepiéj!

Do stołka sądowego ze mną się przylepi.

(*Głośno*).

A jam myślał że Pani wstręt do aktów czujesz,
Że sobie w tych niewinnych rozrywkach smakujesz
Które dla wsi mieszkańców są roskoszą życia;
Że lubisz łowy.

KLARA (*ze wstrętem*)

Fi, fi, nie lubię psów wycia,

I boję się strzelania.

PODSTOLIC.

A konie?— Wierzchowce?

KLARA.

Nie jeżdżę konno. Wolę krówki, albo owce —
Hiszpańskie owce — o, tych chciałabym mieć krocie.

PODSTOLIC (*na stronie*).

Krocie owiec? To jakaś dziwaczka w istocie.
(*Głośno*).
Daruj Pani, że stawam w stajni méj obronie;
Pani nie masz idei, co za roskosz konie.
Ale kiedy cudnego zobaczysz kłusaka,
Którego mam nadzieję kupić u Szymaka,
Rzeczesz sama iż koń, źwierz nieoszacowany.
Uszko małe, grzbiet płaski, karczek załamany,
Pierś szeroka, a nóżka i sucha i gładka.
Kiedy się zaś rozbieży, BOGA mam za świadka,
Że go żaden rossyjski rysak nie przegoni.
Koń, król między źwierzęty, a kłusak, król koni.

KLARA.

Za granicą na osłach spacerują damy.

POSTOLIC (*odskakuje z gniewem*).

I z osłami?

KLARA.

Jak czasem.

PODSTOLIC (*na stronie*).

Dowcip, jak u mamy.
Drwi wyraźnie. Z nich każda jakby kotka drapie.
Ta źle chowa pazurki — bodaj mię nie złapie.

KLARA (*na stronie*).

Znowu się cóś zamyślił. Może się mną brzydzi.

PODSTOLIC (*na stronie*).

Przekonajmy się jednak czy istotnie szydzi,

Czy też przez brak rozsądku takie rzeczy plecie.

(Głośno).

Panie oceniać koni dobrze nie umiecie,
Bo wyjeżdżacie mało w powozach odkrytych.
W karetach zaś i koczach rzemieniem obszytych,
W tych więzieniach ruchomych, to prawdziwa męka!
Dla tego żwawych koni każda się z was lęka;
Dla tego za granicą.

(wpatrując się w Klarę).

Jeśli to nie żartem —
Damy jeżdżą na osłach. Lecz w polu otwartém
Na drążkach, choć w drendulce byle konie chwackie,
Co innego. Zabawy to nie są prostackie,
Bo kursa przecie Grafów, Lordów są roskoszą,
Służą zdrowiu, zysk wielki i sławę przynoszą—
Ledwie co się przebudzisz, już furman brodaty
Czeka z trójką pod gankiem. W hołoblach wilczaty,
Z prawéj strony kasztanek a z lewéj bułany,
Ten się słupi, ów głową rzuca na przemiany;
Siadamy: ruszaj daléj, szarpnęli z kopyta!
Lewy zawodnik sadzi, prawy piasek chwyta,
A biegun nie zważając na bocznych podskoki
Bystrym kłusem posuwa nieścignione kroki.
Nikną z oczu przedmioty; śród powietrza ciszy
Wiatr dmie w uszy, a człek nic nie widzi, nie słyszy,
Oprócz kłębów kurzawy, turkotu, tententu!....
Nic nie zrówna roskoszy takiego momentu.

Klara.

A kiedy oś się złamie, albo koło pęknie? —

PODSTOLIC.

Takich fraszek amator prawy się nie zlęknie.

(*Na stronie pogardliwie*).

Jaka płaska uwaga! co mi z takiéj żonki.

(*Głośno*).

Już ciż trzeba mieć trochę hartu amazonki
By wydołać mężowi w szlachetnym zawodzie.
Bo na biegu rzecz nie ta, co z książką w ogrodzie.
Lub w mazurku na balu, czy z mamą w karecie.
Trzeba męztwa. Lecz za to, czy zimą czy w lecie,
Można jeździć; sankami lepiéj nawet w biegu....

KLARA (*przerywa*).

Wywrócić się i nosem wpaść czasem do śniegu?
Prawda że gorzéj, w błoto.

PODSTOLIC (*na stronie*).

Głupia, bez ratunku.

(*Głośno*).

Pani nie przywięzujesz żadnego szacunku
Do zabaw azardownych. W każdéj jednak sprawie
Więcéj albo mniéj ważnéj, zatém i w zabawie
Azard serce człowieka mile jakoś łechce.

KLARA.

Rzadka z nas na azardy wystawiać się zechce.

PODSTOLIC.

Są przykłady i gęste. Panna Chorążanka
(Z którąm polował konno, wczorajszego ranka)
Wystawia się ochoczo na wielkie azardy.
Wierzchowiec jéj zna szkołę, ale pysk ma twardy:
Ledwieśmy psów ze sfory, spuścili w gęstwinie,
Ruszyły z oka. Szarak! poznałem po minie

Że gracz. Daleka meta, a góra przede mną;
Po kata *zmykać* charty w tę pogoń daremną?
Myślę niech wprzód obłoży, namorduje *skoki*, *)
Wtenczas go łacniej pieski pochwycą za boki.
Daję znak Chorążance żeby cicho stała;
Znak ten był podług reguł, lecz nie zrozumiała;
Zmyka więc swoje charty, i za niemi w ślady
Puściła się galopem. Wołam!—niema rady;
Mój smycz *dębem*, jak szarpnie, kat żeby go wstrzymał!
Dość miałem biedy z koniem, co się słupił, zżymał,
A tym czasem i gończe wyszły z kniei w pole;
Kot już u szczytu góry, psy jeszcze na dole,
Adju, po naszém szczwaniu!—Gdy to mówię sobie,
Koń Chorążanki leci, ona w ręce obie
Ująwszy cugle, ściąga i nie traci głowy;
Lecz darmo, bo wziął na kieł i sadzi przez rowy,
Przez miedze, przez kamienie— Widzę że nie żarty
Puszczam mego gniadosza, nie patrzę na charty,
By w pomoc towarzyszce zdążyć jeszcze w porę,
Już, koń mój był jéj blizko, bo nogi ma skore,
Gdy jéj kasztan, bodajby złamał cztéry nogi,
Hrym na nos, Chorążanka leży—ja ostrogi
W bok memu, zeskakuję, a ona się śmieje!
Na czole kresa, słowo!--Krew się ciurkiem leje,
Amazonka chichocze!! „Fraszki to są—rzecze—
Zawiąż mi prędzéj ranę, bo szarak uciecze.”

---

*) Wyraz techniczny łowiecki, zamiast *nogi*. Inne wyrazy podkreślone tegoż są rodzaju.

I polowała dalej, prawie do obiadu.—
Jeżeli nie dość pani jednego przykładu.
Mogę....

KLARA.

Przestańmy na tym: jużem przekonana
Że mamy amazonki.

PODSTOLIC.

Więc moja wygrana.
Zabawy azardowne są najszlachetniejsze:
Bądź że się życie waży, bądź iż rzeczy mniejsze,
W grze kartowéj pieniądze, fanty —

KLARA (*bez przycisku*).

Honor, czasem.

PODSTOLIC (*na stronie*).

Szczypie do krwi, i niby bez złości, nawiasem.
(*Głośno*).
Pani więc grę kartową potępiasz?—To żarty.

KLARA.

Uciekłabym od męża coby grywał w karty.

PODSTOLIC.

(*Odskakuje w bok i mówi do siebie*).
Do licha!— Już to gorzej niźli moja mama,
Ta nie broni grać w karty, grywa nawet sama.

KLARA.

Pan mi swoje raczyłeś opisać zabawy,
Chcę go poznać z mojemi.— Daleko od wrzawy,
Lubię mieszkanie wiejskie w towarzystwie małem,
Pożyteczną rozmowę w kole poufałem,
Muzykę, lecz nie huczną, wiosną śpiew słowika;
Wielki ma dla mnie powab promenada dzika:

Lubię przebiegać pola, łąki i zarośle,
Ale najmilej pieszą.

PODSTOLIC (*z przekąsem*).

Możeby na ośle?—

KLARA.

Nie, nie wzięłabym osła, choćby była moda.
Gdy mam kogoś grzecznego, co mi rękę poda,
Uchyli cierń i kamień usunie przede mną,
Z takim mi towarzyszem, wędrówka przyjemną.
Radam z takim, przy świetle lampy stolikowej,
Czytać dzieje, powieści słuchać czasem nowej;
I tak co dzień, bez zmiany żyćbym sobie chciała.

PODSTOLIC (*na stronie*).

Chciałaby Literata!—A, czy oszalała?!

(*Głośno*).

Więc takie gusta pani?

KLARA.

Upewniam go szczerze.
Znasz mnie Pan teraz.

(*Wstaje*).

PODSTOLIC (*na stronie*).

Bodaj, zerwie się przymierze.

KLARA (*poważnie*).

Nie mamy już nic z sobą więcej do mówienia?

PODSTOLIC (*zafrasowany*).

Ach, Pani mię wielkiego nabawiasz zmartwienia.

KLARA.

Od większych nas oboje chciałam uratować.
Będziesz mi Pan dziękował.

(WALECZNICKI *ukazuje się we drzwiach*, KLARA *spostrzegłszy go, szybko uchodzi do pokoju* STAROSTY).

PODSTOLIC (*ponuro*).

Mam za co dziękować!—

(*Ogląda się*).

Ale gdzież się podziała?

—•϶϶϶◎◉◎€€€•—

SCENA SIÓDMA.

PODSTOLIC, WALECZNICKI.

WALECZNICKI.

Dwa słowa, mój Panie.

PODSTOLIC (*zdumiany*).

Słucham.

WALECZNICKI.

Tutaj nie miejsce.

PODSTOLIC.

Cóż to?—czy wyzwanie?

WALECZNICKI.

O tém się dowiesz zaraz.

PODSTOLIC.

Czy dla panny Klary?

(KLARA *z lekka uchyla drzwi i przysłuchuje się ich rozmowie, od nich nie widziana*).

WALECZNICKI (*niecierpliwie*).

Jak wyjdziemy odkryję Panu me zamiary.

PODSTOLIC (*tupając nogą*).

Nie ruszę się aż powiesz.

WALECZNICKI.

No, powiem że zgadłeś.

PODSTOLIC.

Dla niéj więc na wielkiego konia Pan mój wsiadłeś?—
Przed chwilą byłbym gotów wskrzesić dobre czasy
I służyć wnet. Bom nie tchórz, wystrzeliwam asy.
Ale teraz, stan rzeczy tak się dziwnie zmienia.

WALECZNICKI.

Co?

PODSTOLIC.

To, że mi djabelnie dała do myślenia.

WALECZNICKI (*z radością*).

Jak to, Waćpan się wahasz?

PODSTOLIC.

Jakby perpendykuł.
Daj mi chwilkę namysłu, toż ważny artykuł.

WALECZNICKI.

Tylko prędko. Znajdziesz mię przed drzwiami u progu.
(*Odchodzi*).

PODSTOLIC (*sam*).

Żenić się? pojedynek pewny. Dajgobogu,
Takim się kosztem żenić, to trochę za słono....
Lecz co gorsza, że ona nie kocha mię pono....
Że ma dziwaczne gusta, złości pełne kości....
Bić się, by pod pantoflem poźniej być Jejmości!...
Justynie, zastanów się i nie bądź zbyt płochy!...
Ależ gniewy Starosty, ależ matki fochy,
Żarciki dowcipnisiów!— Choć uciekać z miasta!...
Lepiéj palnę w łeb jemu, lub on mnie, i basta!...
(*Idzie szybko ku drzwiom, potém wraca dumając*).

Lecz zabiwszy, uciekać pono przyjdzie z kraju?
A zginąć... Któż zapewni że trafię do raju?...
Tu zaś mnie tak wesoło, harcować, polować....
A kłusak?— Z najpierwszemi mógłbym się probować!—
Nie nie, są to za wielkie, za ciężkie ofiary.
Niech sobie ten brewera będzie mężem Klary.
Nie pragnę niczyjego być sprawcą pogrzebu,
Ani sam leźć w mogiłę.— Żyjmy!—

(Wychodzi).

KLARA.

(Wybiega na scenę i podnosząc ręce z radością).

Dzięki niebu!

(Wchodzi do pokoju matki a zasłona spada).

Akt III.

(Teatr wystawia w domu szlacheckiego zgromadzenia, jeden z pokojów bokowych; w głębi drzwi środkowe na ościeź otwarte, ukazują restauracją (zwaną *buffetem*) **w któréj widać tłum osób przed długiem biórem zastawionem rozmaitemi miejsca tego atrybutami. Drugie drzwi bokowe, z prawéj strony blizko tamtych, wiodą do sali obrad).**

SCENA PIÉRWSZA.

STRUKCZASZY,

(*Z listem w ręku na przodzie sceny; w głębi widać co chwila przechodzących pojedyńczo lub parami sejmikowych panów, z sali do buffetu i na powrót*).

Wielkiego mię to pismo nabawia kłopotu.
Któż się takiego rzeczy spodziewał obrotu!
Starosta mi przyjaciel, Pułkownik łaskawca —
Co ja mówię łaskawca?— Dobroczyńca, zbawca!
List jego wszystko mi to żywo przypomina....
A Podstolina?— O, już, przeszła jéj godzina.

Od śmierci Podstolego, lat dziesięć mię zwodzi!
Z jéj łaski kawalerem starzeć mi przychodzi,
A Jejmość swe affekta zwraca do młodzika.
Niechże się z kim chce kręci moja dobrodzika.
Grosiwo rozproszyła — wioski, własność syna:
Słychać że się już o nie drągal dopomina....
Z nią więc kwita.— Starosta, o tu sęk nielada;
Niebezpieczno takiego urazić sąsiada,
Lecz gorzéj Pułkownika. Żebym nie dał słowa,
Nie zabolałaby mi od namysłu głowa;
Zarazbym Podstolica posłał choć do djabła...
Ale związana wola jakżeby nie słabła?
A działać trzeba śpiesznie, lub nie działać wcale—
W tym, lub w owym przypadku, tkwi przeklęte *ale!*

(*Pociera łysiny*).

Chciałbym mieć kazuistę na takie dillema.
Lecz w kole sejmikowym?— A któż wie czy niéma?
Pan Rejent Krzywochodzki rozwiązałby może—

(*patrzy na buffet*).

Ale już śpi w buffecie, nad kuflem nieboże.

SCENA DRUGA.

STRUKCZASZY, PODKOMORZY (*wychodzi z buffetu*).

PODKOMORZY (*do osób w bufecie*).

Choć mnie zabijcie, więcéj pić nie będę — basta!

GŁOS Z BUFFETU.

Jeszcze jedną szklaneczkę.

PODKOMORZY (*zawsze w głębi*).

Byłaby dwunasta.

INNY GŁOS Z BUFFETU.

Wyborna jest to liczba, niech będzie i nasza.

PODKOMORZY (*śmiejąc się*).

Z tych dwunastu wytrącić należy Judasza.

STRUKCZASZY (*na stronie*).

Jakby do mnie.

PODKOMORZY (*zbliżywszy się ku niemu*).

List macie?

STRUKCZASZY (*chowając list*)

Tak, od Ekonoma.

PODKOMORZY.

Cóż donosi?

STRUKCZASZY.

Zły umłot, sama prawie słoma.

PODKOMORZY (*z uśmiéchem*).

I my tu bodaj wiele nie wymłócim ziarna.
Chciałem pogodzić strony, lecz to praca marna.

STRUKCZASZY.

Widzisz Pan, obie strony sparły się kadcznie.
Marszałkowska po cichu, nasza bardzo hucznie,
Ale która silniejsza to jeszcze] problema.

PODKOMORZY.

Dla mnie, błahy tam tryumf gdzie oporu niéma.
Lubię zaś gdy śród walki zwycięztwo się chwieje:
Ten śmieje się najlepiéj, kto się w końcu śmieje.
Lepsza otwarta wojna jak udana zgoda!

STRUKCZASZY (*częstując go tabaczką*).

Szkoda że nasz kandydat, trochę wietrzny.

PODKOMORZY.

Szkoda.

Ale już nie poradzisz.

STRUKCZASZY (*zażywa tabakę*).

Hem..!

PODKOMORZY.

Gdy słowo dane,

Choćby przeciwko bratu rodzonemu stanę!

STRUKCZASZY (*na stronie*).

Ten, to nie kazuista, jak toporem płata.

PODKOMORZY.

Tak Panie, rodzonego odstąpiłbym brata!

Verbum nobile debet...

STRUKCZASZY.

Wiem, lecz są przypadki

Rzecz modyfikujące...

PODKOMORZY (*z marsem*).

Prawisz mi zagadki.

Jaśniéj, Mości Strukczaszy.

STRUKCZASZY (*do siebie*).

A to paliwoda!

Rzekłbyś że w starowinie drga jeszcze krew młoda.

PODKOMORZY (*z przekąsem*).

Oświećże mi Pan swoje modyfikacyje.

STRUKCZASZY (*pokornym tonem*).

Podkomorzy silniejszy, w dyspucie mnie zbije.

Milczę.

PODKOMORZY (*udobruchany*).

Waćpana głowie nie brak też oleju.

STRUKCZASZY (*z ukłonem*).

Daleko jéj do pańskiéj. Jednak dobrodzieju,
Mów co chcesz, ale w naszym powiatowym grodzie
Sprawy byś już mieć nie chciał?—Co?

PODKOMORZY (*namyślając się*).

Mam na odwodzie
Dwa jeszcze tamże głosy, nie licząc pisarza.

STRUKCZASZY.

Na prezydencie wszystko; więc jeśli się zdarza
Że go trzeba wieść za nos, smutna już to łata
W todze magistratury.

PODKOMORZY.

Ha, nie wiek trzy lata.

STRUKCZASZY.

Przez lat trzy wiele wody, i spraw wiele spłynie.

PODKOMORZY.

Ale te lata miną, wszystko dla nas minie,
Prócz dobrego i złego co tutaj sprawiemy.

STRUKCZASZY.

A dobreż to, gdy smyka tego obierzemy?—

PODKOMORZY.

Złe może, ale mniejsze, bo się z czasem zmienia;
Słowo zaś jest niezmienne, pod hańbą imienia.
Dałem słowo—bądź co bądź, dam kréskę na prawo.

(*Odchodzi przez drzwi boczne do sali*).

SCENA TRZECIA.

STRUKCZASZY I ASSESOR SZYMAK (*który wyszedł z bufetu*).

ASSESOR.

O cóż się dobrodzieje tak spierali żwawo?

STRUKCZASZY.

Słuchajno Assesorze: szczerze — między nami —
Tyś dobrze z Podstolicem?

ASSESOR.

He, he, jak czasami,
Bywałem nań zły; odrwił mnie na koniach, nieraz.

STRUKCZASZY.

To przeszło. Jak stoicie, pytam, z sobą teraz?

ASSESOR.

Dobrze, bo na kłusaka on się mego łasi.

STRUKCZASZY.

Wiesz co? Na ciebie liczą nasi mecenasi.

ASSESOR.

W czém to?

STRUKCZASZY.

I przytém grzankę dla siebie byś łapnął.

ASSESOR.

Mów panie!

STRUKCZASZY.

Wiesz tę sprawę, o więźnia co drapnął?

ASSESOR.

Już ciż wiem, bom ucierpiał za to choć niewinny.
Infamis nasz sekretarz...

STRUKCZASZY.

Bądź dla nas uczynny,

A wyjdziesz zdrowym z téj gorącéj łaźni.

ASSESOR (*z żywością*).

Co pan mówisz?—Za taką usługę przyjaźni
Skoczę w ogień!

STRUKCZASZY.

Znasz silne Pułkownika wpływy.
On cię wydzwignie.

ASSESOR.

Oh, byłbym szczęśliwy!
Zrobię co każesz — ale, by czasu nie trwonić,
Mówże pan, co mam robić?

STRUKCZASZY (*cicho*).

Podstolica skłonić,
Żeby ten raz ustąpił placu Podsędkowi.

ASSESOR (*drapiąc się w głowę*).

Ciężko, bo on, bez matki nic nie postanowi.
Boi się jéj jak ognia. Oj ma też matulkę!...
Chyba tak — żeby rzucił przeciw sobie kulkę?
Zrobi mniéj głosy dwóma, pański trzeci....

STRUKCZASZY (*zatyka mu usta*).

Cicho.

(*Ogląda się*).

Gdyby się wydał sekret, byłoby nam licho.
Czy myślisz że pan Justyn rzuci przeciw sobie?

ASSESOR.

Pali się do kłusaka, więc z nim wszystko zrobię.
Niéma przytém nad niego leniwszego człeka:
Otoż tak mu opiszę pracę co go czeka,

Że zadrży a pot zimny czoło mu obleje.
Lecz na kłusaku główną mą wspieram nadzieję.

STRUKCZASZY (*całuje go*).

Łebski!— Ruszajże bratku; ale *verbum*.

ASSESOR (*uderza go w rękę*).

Verbum.

Kto je łamie — Infamis!

(*Wraca do buffetu*).

STRUKCZASZY (*bijąc się po łysinie*).

O, *dictum acerbum*!—

(*Odchodzi do sali*).

(Dekoracja zmienia się. Teatr wystawia znowu salon w domu Starosty).

SCENA CZWARTA.

STAROŚCINA i KLARA (*wychodzą z pokoju bokowego*).

STAROŚCINA.

Pewnaś więc że on twojéj ręki się wyrzeka?—

KLARA.

Sam to mówił. Słyszałam.

STAROŚCINA.

Słowom tego człeka
Ufać bardzo nie można. Chyba że z bojaźni.

KLARA.

Tchórzem nie jest.

STAROŚCINA.

Tem gorzéj. Ale po przyjaźni
Pana Zbigniewa więcéj mogłam się spodziewać.

KLARA (*tuląc się do niéj*).

Mamo, on nieszczęśliwy — nie chciéj się nań gniewać.
Lecz oto winowajca.

SCENA PIĄTA.

TEŻ I WALECZNICKI.

STAROŚCINA (*do niego zimno*).

Czy po pojedynku?—

WALECZNICKI (*zmięszany*).

Pani wiesz?..

STAROŚCINA.

Że pan swego żałujesz uczynku.
O tém wiedzieć bym chciała.

WALECZNICKI (*nieśmiało*).

Nie dobyłem broni.

STAROŚCINA.

Wybieg ten przed nim samym czyliż go zasłoni?—
Kto wyzwał, ten już zgrzeszył.

WALECZNICKI.

Zgrzeszyłem więc Pani.

(*Przyklęka*).

Przebacz, powtóre, temu co sam błąd swój gani.
Ostatnie już to było moje przewinienie.

(*do* KLARY).

Ty pani, zaręcz za mych obietnic spełnienie.

SCENA SZÓSTA.

CIŻ I PODSTOLINA, (*później* LOKAJ).

PODSTOLINA (*z przekąsem*).

Brawo mój Kapitanie! z mężnego rycerza
Na czułego, jak widzę, przeszedłeś pasterza —
Ale mu nie ufajcie, bo żołnierz niestały;
On w oka mgnieniu swoje przenosi zapały,
Od wdowy do panienek, daléj do mężatek,
Wczoraj szalał dla córek, dziś gotów dla matek.

STAROŚCINA (*do* WALECZNICKIEGO).

Dziękuj-że Kapitanie za obraz pochlebny.

PODSTOLINA (*do niéj cicho*).

Ten konkurent już tutaj wcale niepotrzebny.

STAROŚCINA.

Podstolina tak myśli, ja mam inne zdanie.

PODSTOLINA (*z przekąsem*).

I bez wątpienia mędrsze. Milczę.
(*do* WALECZNICKIEGO).
Kapitanie,
Muszę panu wymówić, żeś wcale niegrzeczny.

WALECZNICKI

Dotąd byłem od tego zarzutu bezpieczny,
Nie uchybiam nikomu.

(STAROŚCINA *i* KLARA *usuwają się w głąb i cicho rozmawiają z sobą*).

PODSTOLINA.

Samam tak mniemała,
Kiedym Waćpana pierwszy raz tutaj widziała.

Jego ton, manijery, całe ułożenie,
Przyjemne, wyznam, na mnie robiły wrażenie.
Czekałam więc, i słusznie, choć jednej wizyty.

WALECZNICKI.

Mieszkam dotąd samotny, rzec mogę ukryty,
I prócz domu Starostwa...

PODSTOLINA.

Toż mnie właśnie gniewa.
Czegoż się pan w tym domu dla siebie spodziewa?
Musiała mu powiedzieć, sądzę, Starościna,
Że jéj córka należy już do mego syna.

KLARA (*głośniéj w rozmowie z matką*).

Bynajmniéj.

PODSTOLINA (*obracając się do niéj*).

Co bynajmniéj?

STAROŚCINA (*do* PODSTOLINY).

Mówiła to do mnie.

PODSTOLINA.

Czy tak? Lepiejby jednak było milczeć skromnie.
(*Do* WALECZNICKIEGO).
Winnam była go ostrzedz, jak mego sąsiada —
Lecz wróćmy do piérwszego. Bardzo będę rada
Jeżeli mię nawiedzisz. Cóż to znaczy milka?—
Mówiłam Justynowi, po razy już kilka,
Żeby się z panem poznał. Ale ten Jegomość
Złą ma pamięć.

WALECZNICKI.

Dziś z sobą weszliśmy w znajomość.

PODSTOLINA.

Cieszę się z tego. Może on przyciągnie pana
Do Dryndul iszek; chociaż już od jutra rana
Na dwa się z nim osobne rozdzielimy dwory.
Żeni się chłopiec, jak to mówią, mimo pory,
Ledwie ma lat dwadzieścia — bo ja, na zapusty,
Zacznę życia mojego rok — trzydziesty szósty.

STAROŚCINA (*głośniej do* KLARY).

Największe kłamstwo.

PODSTOLINA (*z gniewem do niéj*).

Jak to?

KLARA (*do* PODSTOLINY).

Z sobą rozmawiamy.

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Do Waćpaństwa się dysput wcale nie mięszamy.

PODSTOLINA.

U nas dysputy niema. Zostawcie nas, proszę.

WALECZNICKI (*na stronie*).

Boże, jakież ja męki z tą dziwaczką znoszę.

(LOKAJ *wchodzi*).

LOKAJ (*Do* PODSTOLINY).

Niechaj się pani śpieszy, już przyszło do wotów.

PODSTOLINA.

Ach, idę! idę!... Co to na świecie kłopotów!
(*Do* STAROŚCINY).
Pozwolisz, że na moment od was się oddalę.
(*Bierze* WALECZNICKIEGO *pod ramię*).
Waćpan mię zaprowadzić bądź łaskaw na salę.

(*Odchodzi spiesznie, ciągnąc prawie za sobą* WALECZNICKIEGO, LOKAJ *idzie za niemi*).

SCENA SIÓDMA.

STAROŚCINA, I KLARA.

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Niechcąca śmiać się muszę. Co się też z nią dzieje!
Chciałaby nam sejmiki zamienić w turnieje,
I być jak w dawnych wiekach, królową piękności.
Byleby nie mięszała naszéj spokojności,
Wszelkąbym dała wolność jéj dziwacznéj wenie.
Patrzeć na nią zabawnie, lecz być z nią na scenie,
Bardzo przykro. Cierpliwość — to środek jedyny.
Odkryłam dość szczęśliwie niektóre sprężyny
Mogące nam posłużyć przeciw jéj kabale;
Gdyby się to udało co zamyślam — ale
Ten na któregobym pomoc z pewnością liczyła
Nie przybył, nie odpisał nawet.

(*Zegar bije szóstą*).

Która biła?

KLARA.

Szósta.

STAROŚCINA.

Może przed domem wysiadł zgromadzenia.

KLARA.

Któż to jest mamo?

STAROŚCINA.

Zgadnij. Człek nie bez znaczenia,
Który oddawna dla mnie szczerą przyjaźń chowa

SCENA ÓSMA.

TEŻ I PUŁKOWNIK.

PUŁKOWNIK.

Otoż i wilk o którym pono była mowa.

(*Caluje rękę* STAROŚCINY).

STAROŚCINA (*uradowana*).

Marudniku! wiesz żem się gniewała już szczerze.
Myślałam żeś mię oddał losowi.

PUŁKOWNIK.

Nie wierzę.
Gniewałaś się, być może; ale wątpić o mnie,
To było nad twe siły. Nie prawdaż?—

STAROŚCINA.

Jak skromnie!
Zgadłeś jednak. Lecz cóż mi z téj ślepéj ufności?
Przybyć tak późno.

PUŁKOWNIK.

Ho, ho, i bez obecności
Biegłego wodza plac być może otrzymany,
Byle plan jego dobrze został wykonany.
Wódz naczelny nie stawa tuż przy piérwszéj straży;
Kieruje zdali, a gdy los już, już się waży,
Sam wtenczas w bój wstępuje z odwodową siłą,
I rozstrzyga zwycięztwo. Tak się niegdyś biło
Na ostre, téj i dzisiaj, za méj dobrodziki
Łaskawem pozwoleniem, używam taktyki.

STAROŚCINA.

Wczas więc przyszły rezerwy?

PUŁKOWNIK.

Azaliżem kiedy
Przyszedł po czasie?

STAROŚCINA (*z uśmiechem*).

Nigdy?

PUŁKOWNIK (*bije się po czole*).

Prawda!— Wtedy!— Wtedy!
Okrut....

STAROŚCINA (*szybko wpadając w mowę*).

Mój Pułkowniku spójrz przecie na Klarę.

PUŁKOWNIK (*ściska rękę* KLARY).

Daruj chrzestna córeczko, oczy moje stare
Wypłatały mi figla.— Jak pięknie urosła.

(*Do* STAROŚCINY *cicho*).

I ten to kwiat Starosta przeznacza dla osła!
Jabym nim chciał ozdobić skroń mężną żołnierza.
Co myślisz? Czym tak stary?

KLARA (*która to słyszała na boku*).

Do czegoż on zmierza.

STAROŚCINA (*cicho śmiejąc się*).

A pomnisz swe zaklęcia, Rycerzu *felonie?*

PUŁKOWNIK (*cicho*).

Nie jest-że to twój obraz? Nie w twojém że łonie
Wziął ten aniołek życie?—

STAROŚCINA (*cicho*).

Sofizma te na nic:
A wreszcie, czemuś nie strzegł tej krainy granic?
Już ją zdobył kto inny.

PUŁKOWNIK (*głośno*).

Któż to ten zuchwalec?

Starościna.

(wskazując na wchodzącego Walecznickiego*).*

Ten oto.

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż i Walecznicki.

Pułkownik.

(Wpatrując się weń, a potem radośnie zdumiony).

Boże! to twéj Opatrzności palec!—
Zbigniew!

(Wyciąga ku niemu ręce, Walecznicki *rzuca się w jego objęcia).*

Ciebież to widzę?!

Walecznicki.

Mój Pułkownik, drogi!

Starościna.

Oni się znają!— Boże, dziwne Twoje drogi!

Pułkownik.

Patrz, mnie się ani śniło żeś ty zawędrował
Na Litwę. Lecz czemuś się chował
Przed mém okiem?— Jak to nikt ci nie powiedział
Że mieszkam w téj Gubernji?— Małom wprawdzie siedział
Tego roku u siebie, bo mię w różne strony
Ganiały interesa.

Walecznicki.

A jam żył zamkniony
Jak Eremita—

Pułkownik *(ze spójrzeniem na* Klarę*).*

Tak, tak, w kontemplacjach cały?

WALECZNICKI.

Nadspodzianie w te strony losy mnie zagnały.
Rozstaliśmy się, wiesz sam, gdzieś w dalekiéj ziemi.

PUŁKOWNIK.

Ach, tak! Jam ciebie liczył między poległemi.

WALECZNICKI.

U nas chodziły wieści sprzeczne: raz żeś zginął,
Drugi raz, żeś zdrów — ale do Anglji popłynął.

PUŁKOWNIK.

Gdyby nie ty, wieść piérwsza byłaby prawdziwa —
(*Do* STAROŚCINY).
On mi ratował życie.

KLARA (*na stronie*).

O, jakżem szczęśliwa!

PUŁKOWNIK.

Dokoła oskoczony, byłbym trup, lub jeniec,
Gdyby wczas nie przyskoczył mężny ten młodzieniec.
Zasłużył takim czynem na wdzięczność mą wieczną.

WALECZNICKI.

Nie zawstydzaj mię panie pochwałą zbyteczną.
Traf to był dla mnie szczęsny.

PUŁKOWNIK.

Traf by nic nie nadał,
Gdybyś ty mniéj walecznie wówczas szablą władał—
Tak! tobiem winien życie!

(*Ściska go*).

STAROŚCINA.

Jak dziwnie Bóg zrządził
Sprowadzając was tutaj. Pan Pułkownik sądził

Usłużyć przyjaciółce, a Bóg mu udziela
Sposobności zająć się losem przyjaciela,
I wypłacić dług serca.

PUŁKOWNIK.

Przynajmniej procenta.—
Dziś pani będziesz ze mnie zupełnie kontenta.

STAROŚCINA (*cicho ze śmiechem*).

Bylebyś go nie wyzwał jak swego rywala.

PUŁKOWNIK (*cicho*).

Wdzięczność do wspaniałości ten raz mię zniewala;
A byłoby mi pięknie, z żoneczką tak młodą.

STAROŚCINA (*cicho*).

Czyby tylko kanony nie były przeszkodą?

PUŁKOWNIK.

Aj, prawda, jam ją do chrztu trzymał. Więc ze złości
Na nią po mojéj śmierci zwalę moje włości...

STAROŚCINA.

Tego ja słyszeć nie chcę.

PUŁKOWNIK.

Więc nie słuchaj— Ale
O tém, potém: mnie trzeba pójść trochę na salę,
Zobaczyć co też moi zrobili agenci.—
Mam nadzieję, że wszyscy będziemy kontenci.
(*Chce wychodzić i spotyka się ze* STAROSTĄ).

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ I STAROSTA.

STAROSTA.

(*Wchodzi zafrasowany, rzuca czapkę i laskę i wita się z* PUŁKOWNIKIEM *trochę oziębłe*).

A, jak się masz Zorjanie?

PUŁKOWNIK.

Dobrze z łaski Nieba.
A ty?— O twoje zdrowie i pytać nie trzeba.
Czerstwyś jak rydz, lecz widzę nie bardzo wesoły.

STAROSTA (*ponuro*).

Gdzie tam czerstwy!— W grób pędzą troski i mozoły.—
Przybywasz przyjacielu z łyżką po obiedzie.
Bo też rzadko przyjaciół człek ogląda w biedzie.

PUŁKOWNIK.

Raczysz mnie spodziewam się wyłączyć z prawidła?

STAROSTA.

Trudnoż ufać, gdy zewsząd wrogi stawią sidła,
A przyjaciele patrzą na to obojętnie.
Jakby się tu nie wściekać!

PUŁKOWNIK.

Sądzisz zbyt namiętnie,
Boś w złym sosie. Więc lepiéj nie gadajmy o tém.—
Padłeś więc?

STAROSTA.

Nie ze wszystkiem. Ale co mi potém?
Tak dobrze jak przegrana. *Paritas.*

PUŁKOWNIK.

Więc jeszcze
Jest widok.

STAROSTA.

Ja ten widok między bajki mieszczę,
Kiedy przeciw mnie padły pewniutkie trzy wota.

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Strukczaszy się popisał.

STAROSTA (*z gniewem*).

Judasz Iskarjota!
Ale jemu odpłacę.

PUŁKOWNIK.

Czyby się domyślił?

STAROSTA.

Djabeł by większéj pono psoty nie wymyślił!—
Rzucić przeciwko sobie!—

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Więc to nie Strukczaszy.

STAROSTA.

Dwóch się jeszcze prócz niego znalazło Judaszy,
A będzie może więcej aż do jutra rana,
Bo do jutra, w tym celu, sessja solwowana.
Marszałek, Machiawel.

PUŁKOWNIK.

A cóż Podstolina?

STAROSTA.

Daj mi z nią święty pokój.

Pułkownik.

Jéj podobno syna
Prowadziłeś do grodu.

(Starosta *gryzie palce i nic nie odpowiada*).

Pułkownik (*cicho do* Starościny).

Widzisz strzelam celnie.

SCENA JEDYNASTA.

Ciż i Podstolina.

Podstolina (*rzuca się na krzesło*).

Ledwie żyję! ach, zdrajcy zwiedli nas bezczelnie!
Mówiłam ci Starosto, nazbyt ufasz jemu...

Starosta (*z gniewem*).

Komu?

Podstolina

Podkomorzemu.

Starosta.

Co? Podkomorzemu?—
Temu ja nie przestanę ufać pókim żywy;
To mąż bez skazy, i mój przyjaciel prawdziwy.
Oj wiem komum ja ufał płocho, bezrozumnie;
Ale już mnie nie zwiedzie. Prędzéj legnę w trumnie!—

Podstolina.

Któż więc?

Starosta.

Oto niech pani lepiéj się nie pyta.

(*Do niéj na ucho*).

Niech wie tylko, że z synem jéj na zawsze kwita.

PODSTOLINA (*porywa się z krzesła*).

Co to? Co się Waćpanu przyśniło?

STAROSTA.

Już nie śnię.

Ale szkoda żem ze snu zbudził się niewcześnie.

PODSTOLINA.

Proszę mi wytłómaczyć.

STAROSTA.

Nie mogę — w téj chwili.

PODSTOLINA.

Nie będziesz mógł i potém.

STAROSTA.

W tém się pani myli.

Za złe jéj tego nie mam — pojmuję powody;
Ale com rzekł, to prawda; mam na to dowody.
Ani mię gniew zaślepia ani przyjaźń łudzi,
Umiem sądzić o rzeczach i poznawać ludzi;
Marna próżność, zysk lada, żądzy méj nie drażni;
Interes osobisty poświęcam przyjaźni,
Lecz dobra publicznego tknąć nie dam nikomu;
Kładę je wyżéj nad mą spokojność, nad domu
Własnego pomyślności. Miałaś tego dowód.
Nie inny więc i teraz przymusił mię powód
Zmartwić Waćpanią; lubo, ur꜀czam honorem,
Bez téj okoliczności...

PODSTOLINA (*w gniewie*).

Przestań czczym pozorem

Barwić złe....

S T A R O S T A (*przerywając*).

Mościa pani, szczęście żeś niewiasta.—
Wyjść jednak muszę, bo zbyt gniew mi w piersiach wzrasta.
(*Chce odejść*).

P O D S T O L I N A (*chwyta go za rękę*).

Ja odejdę, lecz w przódy muszę mu na oczy
Wyrzucić jego zmienność. Bój się jeszcze toczy,
Pamiętaj. Jutro ujrzysz mnie przeciwko sobie—
Uśmiéchasz się?—Zobaczysz co ja jutro zrobię.—
Co się zaś tyczy syna mego, on mężczyzna,
Waćpan także, choć głowę już kryje siwizna,
Rosprawicie się z sobą. Zerwane przymierze—
Justyn nie płacze straty; on sobie wybierze
Pannę bez wielkich tonów i nie literatkę.
Bóg od literatury ustrzegł naszą chatkę.
Proszę zatém pamiętać: my, rekuzujemy!—
Teraz, jeśli się kiedy jeszcze zobaczemy,
To chyba przy wazonie, albo przed kratkami.
(*z wzrastającym zapałem*).
Sam chciałeś żeby wojna była między nami:
Przyjmuję. Dobrze, wojna, i wojna na wieki!
Zemsta, do ostatniego zawarcia powieki!—
Stracę majątek, byle pomnożyć stronników,
Wszystkich twoich przyjaciół zmienię w przeciwników,
Od wierzycieli twoich wykupię obligi,
Wszystkich użyję środków, choćby też intrygi,
A kiedy na sejmiku padniesz bez powstania,
Umrę z radości słysząc twoje narzekania!—
(*Odchodzi*).

SCENA DWUNASTA I OSTATNIA.

CIŻ BEZ PODSTOLINY.

STAROSTA (*w osłupieniu na stronie*).

Ta kobiéta gotowa z djabłem się pobratać,
Byle mi jaką sztukę piekielną wypłatać.
Ma głowę do tych intryg, ma jeszcze przyjaciół—
A toż mię los, jak mówią, z mańki dzisiaj zaciął.

STAROŚCINA (*cicho do* PUŁKOWNIKA).

Przemów do niego, pociesz.

PUŁKOWNIK (*do* STAROSTY).

Stary przyjacielu...

STAROSTA (*z goryczą*).

Mamże przyjaciół?

PUŁKOWNIK.

Masz ich. Może nie tak wielu
Jakeś mniemał, lecz za to lepszych nieco z treści.—
Miałżeby cię odurzyć ten grzechot niewieści?—
Ja ci owszem winszuję sojuszu zerwania;
Dla niéj zaś przyjdzie może czas upamiętania.

STAROSTA.

Chyba się w swéj ostatniéj chwili upamięta.
Ty jéj nie znasz. Niewiasta to w gniewie zawzięta.

PUŁKOWNIK.

Prawda żem nie miał sprawy ze złemi niewiasty.

STAROSTA.

Mój z nią sojusz bez przerwy, rok oto trzynasty,
Trwał mimo przemian losu, trwałby jeszcze daléj,
Gdyby jéj syn niecnota nie przechylił szali.

Nie chciałem, tu wam w obec, wyjawić jéj, sromu
Którym ten chłystek splamił klejnot swego domu,
I nie dziw że ją w takiéj widzieliśmy złości:
Nie wiemyż jak są czułe matczyne wnętrzności?—
Jam jéj gotów przebaczyć. Jemu nie przebaczę!—
Młodości każdy człowiek wypłaca haracze—
Sed modus est in rebus.—Upić się, grać w karty,
Latać gdzie nie potrzeba, to są jeszcze żarty,
To z wiekiem ustać może. Ale zdradzać niecnie,
Jak ten bezczelny młodzik zdradził mię obecnie,
To przechodzi granice.

PUŁKOWNIK.

Tak, to winowajca!

STAROSTA.

Nie zgadłbyś i do jutra, co ten zrobił zdrajca,
Tak czyn jego jest płaski i razem zbrodniczy.—
Dla mizernéj jakiegoś koniska zdobyczy,
Zważ! wyrzekł się honoru prezydować w Grodzie!

PUŁKOWNIK.

Horrendum!

STAROSTA.

Piérwszy przykład w powiecie!— w narodzie!—
I cóż zrobił, by dopiąć haniebnego celu?—

PUŁKOWNIK.

Zrejterował się.

STAROSTA.

Ba! nie zgadłeś przyjacielu:
Rzucił gałkę na lewo, wotując dla siebie!

PUŁKOWNIK.

A, niechże go kartacze!—Bracie, żal mi ciebie...

Lecz powiedz mi jakżeś się téj zdrady dobadał?

STAROSTA.

Strukczaszy się że skruchą z tego wyspowiadał.

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Tegom się nie spodziewał.

STAROSTA.

Upił się nieborak.
Inaczéjby nie pisnął, ho! przebiegły dworak! —
Ale winem chcąc stłumić sumienia zgryzoty,
Przebrał miary, i wszystko wyznał co do joty.

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Ponieważ mnie nie wydał, przebaczam mu pjaństwo.
(*Głośno*).
Brzydkie to z Podstolica strony oszukaństwo.
Tyś go wiódł...

STAROSTA.

Toż to właśnie co mi ściska serce.
Powaga ma upadnie. Będę w poniewierce.
Dwa stronnictwa już teraz przeciwko mnie staną:
Marszałka, Podstoliny. Żadną losu zmianą
Cieszyć siebie nie mogę. Los mnie zmańki zaciął.

PUŁKOWNIK.

Boś zapomniał na Boga i na twych przyjaciół.
Otoż ja ci powiadam, że twoja powaga
Nie tylko nie upadła, lecz się owszem wzmaga.

STAROSTA (*wątpliwie*).

Cieszysz mnie.

PUŁKOWNIK.

Mogę cieszyć bom jest tego pewny.
Wznieś głowę bracie! porzuć do licha ton rzewny:

Dziękuj Bogu że sessją dzisiaj solwowano,
Bo z nowym kandydatem staniesz jutro rano,
I Dalibóg nie gorszym od twego koniucha.—
Wygrasz, jakem przyjaciel.

S T A R O S T A (*trochę orzeźwiony*).

Zkąd ci ta otucha?
Z jakimże kandydatem wystąpiłbym?—

P U Ł K O W N I K (*bijąc go po ramieniu*).

Ze mną!

(*Powszechne zadziwienie*).

S T A R O S T A (*radośnie zdumiony*).

Ty?...

P U Ł K O W N I K.

Byłaż obietnica ma, kiedy daremną?—
W żadnymbym tego innym nie zrobił przypadku,
Ale gdy twa powaga blizką jest upadku,
Gdy bliźnim szkodzić może ten rozruch domowy,
Poświęcić na trzy lata jam siebie gotowy.
(*Uśmiechając się*).
Jeżeli tylko myślisz, że się na mnie zgodzą?

S T A R O S T A (*rzuca się mu na szyję*).

Przyjacielu! Zbawco mój! Zmysłyż mię nie zwodzą?
Tybyś chciał dla mnie taką uczynić ofiarę?

P U Ł K O W N I K.

Stój! mógłbyś przebrać czasem radości twéj miarę:
Bo są jeszcze niektóre warunki, pytania —
Zobaczmyż czy do twego trafią przekonania?—
Primo: Czy mnie wybiorą?

S T A R O S T A.

Odpowiadam głową.

PUŁKOWNIK (*z uśmiechem*).

A kiedy jednogłośnie?

STAROSTA.

I to by nie nową

Było u nas praktyką.

PUŁKOWNIK.

Lecz tyś jéj przeciwny?—

STAROSTA.

Sam im zaproponuję.

PUŁKOWNIK.

Widok będzie dziwny.

No, to dobrze, — punkt drugi...

STAROSTA.

Choćby jeszcze trzeci.

PUŁKOWNIK.

(*Prowadząc* KLARĘ *i* WALECZNICKIEGO *do nóg* STAROSTY).

Masz mi pobłogosławić tę pareczkę dzieci.

STAROSTA (*do* STAROŚCINY).

Błogosławmyż im, duszko, gdy niema przeszkody.

(*Radośnie do* PUŁKOWNIKA).

Czegoż chcesz jeszcze? Roskaż, a skoczę do wody.

PUŁKOWNIK.

Od ciebie nic już więcéj.

(*Do* STAROŚCINY).

Od pani, uścisku,

Bom nań zasłużył.

STAROŚCINA (*ściska go*).

Chętnie.

PUŁKOWNIK (*do niéj z galanterją*).

Gdym to odniósł w zysku
Nie żal mi téj trzyletniéj i ciężkiéj mozoły.

STAROSTA (*ściskając wszystkich*).

Jutro to, jutro, dzień wam zwiastuję wesoły!
Krzyknie może ktoś na mnie, lecz mimo te krzyki
Pókim żyw, nie przestanę jeździć na sejmiki!—

(*Zasłona spada*).

KONIEC.